



# Piszemy

Trzecia antologia Stajni Literackiej SPP

**Piszemy**



# Piszemy

Trzecia antologia Stajni Literackiej  
Warszawskiej Szkoły Pisania  
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich  
Oddział Warszawa



Stowarzyszenie  
Pisarzy Polskich  
**Oddział Warszawa**

© Copyright by Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, 2019

Redakcję, projekt graficzny, typografię i skład, recenzje wydawnicze wykonał  
i wstęp napisał w darze dla Stajni Literackiej SPP

© *Piotr Müldner-Nieckowski*

ISBN 978-83-938439-2-3

Warszawa 2019

Wydanie I

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, [www.c-p.com.pl](http://www.c-p.com.pl)

## Wstęp

To już trzecia antologia, książka, która powstała spontanicznie w 2018 r. jako dokumentacja Stajni Literackiej Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP), istniejącej w ramach Warszawskiej Szkoły Pisania (WSP). W latach 70. XX w. instytucję podobną do Stajni, a funkcjonującą przy ówczesnym Związku Literatów Polskich (zlikwidowanym w 1983 r.), nazywano Kolem Młodych, ale działała ona na innych zasadach i była kontrolowana przez władze PRL-u przez wstawianie do składu członkowskiego ubeckich wtyczek i stosowanie cenzury. Dziś jest inaczej. Jesteśmy całkowicie niezależni, wolni od jakichkolwiek zakazów, nakazów, narzutów, pęt artystycznych, ideowych czy politycznych z wyjątkiem tych ograniczeń, które wynikają ze zwykłej przyzwoitości i dekalogu. Każdy reprezentuje siebie.

Autorzy osobiście dostarczyli prace, które uznali za godne druku i które chcieliby ogłosić w tej publikacji. Stworzyliśmy w ten sposób niekomercyjny tomik siłami społecznymi, bez żadnej pomocy finansowej, bez dotacji. Znajdują się tu utwory lub fragmenty utworów zebrane spontanicznie przez autorów – członków Stajni. Nikt ich nie cenzurował, ale niżej podpisany ośmielił się przeprowadzić redakcję i z dostarczonego materiału odrzucić tylko teksty bardzo słabe. Układ alfabetyczny powoduje, że nikt nie jest wyróżniony.

Minęło sześć lat od założenia w 2012 r. Warszawskiej Szkoły Pisania przez Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP). Odbyło się siedemdziesiąt spotkań warsztatowych i kilka pokazowych. Grupa przyjęła nazwę „Stajnia Literacka SPP”. Pod przewodnictwem niżej podpisanego spora grupa co miesiąc spotyka się w zabytkowej sali Domu Literatury w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 87/89. Jest to zespół dość liczny, ponaddwuosobowy. Na spotkania przychodzą też znani, zaawansowani pisarze, niektórzy żeby posłuchać, inni aby włączyć się do rozmów. Uczestniczy zwykle jedna trzecia członków, za każdym razem w nieco innym zestawieniu. W ciągu minionych lat odpadło około pięćdziesięciu nazwisk,

ale doszło drugie tyle. Nie stawiamy żadnych wymagań organizacyjnych, ideowych ani finansowych, wystarczy przyjść, zarejestrować się nazwiskiem i adresem e-mailowym, uważnie słuchać wykładów i brać udział w dyskusjach, prezentując przy tym swoje dzieła. Swoboda wypowiedzi na spotkaniach sprzyja ośmieleniu się tych, którzy nie są siebie pewni, nie wiedzą, czy mogą się publicznie ujawnić ze swoimi próbami. Tym, którzy się przelamali i zaczęli głosić swoją prawdę literacką, wyszło to na dobre, wbrew obawom okazali się godni zainteresowania. Potworzyły się grupy przyjaciół, którzy spotykają się także poza Stajnią i wspierają nie tylko w zakresie twórczości.

Poprzednie tomiki, a były to *Coraz lepiej* (2012) i *Co jest pisane* (2016), przedstawiają we wstępach historię Stajni, jej skomplikowane zaplecze. Czujemy się więc zwolnieni z obowiązku powtarzania tamtych treści. Nie odważymy się też wyróżniać nazwisk twórców w Stajni najlepszych, bo naszym zdaniem we wszystkich tkwi zacyzn dobrej przyszłości artystycznej, na każdego może przyjść jego czas, a moglibyśmy skrzywdzić kogoś przypadkiem pominiętego. Warto jednak podkreślić, że Stajnia wydała już realny plon w postaci grona piętnastu osób przyjętych do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. To spora liczba, zważywszy na to, że kryteria przyjęcia do SPP są trudne do spełnienia, sito stworzone przez Komisję Kwalifikacyjną jest bardzo gęste, a wyboru na członka dokonuje Zarząd Główny, który nigdy nie czyni tego mechanicznie.

Milej lektury!

*Piotr Müldner-Nieckowski*  
*opiekun Stajni Literackiej*  
*wiceprezes OW i wiceprezes ZG SPP*

# Krystyna Chomicz-Jung

## Poza

Czasem, rzeczywistością  
i polityką. Gdy niebo widzę,  
chmury, słońce, cień.  
I listki te teraz jesienią.  
Barwą wszelką się mienią.  
Kąpiel mi w pięknie dają.  
I wszystko inne znika.  
To dla mnie taka muzyka.  
Anioły obok.  
Się mają.

*6. 10. 2017*

## Czy jestem

To ja, czy może poza  
moja? Na Boga, tak  
dusza ma stale wokół  
szuka blasków.  
Co czyni Twoja?

## Lecz czasem

Jednak zabieram słowo.  
Aby coś rzec. Czym  
brzmi na nowo?  
Spróbuj tego dociec.  
Może się mieni jedynie  
pozą, czy wszyscy to  
z humorem zniosą?  
A ja tu poza pozą  
tkwię. Czy lubię  
w ogóle słowo nie?  
Nie widzę, nie patrzę,  
nie zauważam?



A jednak mi tyle  
się piękna przydarza.  
Panie, ja jestem, tak  
czuję, blisko Twojego  
    oltarza. I Twą obecność  
    tak daj mi pomnażać.

### My anioły

My  
anioły  
anioły marzeń  
srebrzyste duchy  
niewidzialni posłańcy  
stale krążymy w myślach  
wyszukując właściwej chwili  
by zaistnieć w cudach tego świata

### Melodia

Kiedy słońce jeszcze nie weszło  
usłyszałam w oddali melodię  
przepiękną, nieziemską, anielską.

Nuciłam ją w sercu przez wiele lat,  
razem z aniołem, co niegdyś mi grał.

Skryłam tęsknotę przed światem złym,  
by tylko w myślach wracać do chwili  
przepięknej, nieziemskiej, anielskiej.

Nosiłam ją w sercu przez wiele lat,  
razem z aniołem, co niegdyś mi grał.

Śpiewałam, gdy smutek w progu stał,  
bo z dawna czekałam na miłość  
przepiękną, nieziemską, anielską.

Znalazłam tę miłość w zwyczajnym dniu,  
w melodii anioła, co pięknie grał.

## Listopadowy dzień

Duże krople rytmicznie uderzały w szybę. Listopadowa noc ogolociła drzewa z liści, które jeszcze wczoraj w bajecznych barwach kołysały się na wietrze.

Łukasz się rozbudził. Spojrzał w okno i powiedział po cichu – jestem, jak te szpetne gałęzie – po tych słowach pozwolił sobie zanurzyć się w depresji, zagarniającej go całkowicie. Deszcz padał coraz silniej, a wiatr wyl zaciekle. Podobnie jego refleksje w wariackim kalejdoskopie ze złością podsuwały mu powody do złego nastroju.

– Dlaczego nic mi się nie udaje – rozmyślał. – Mam siedemnaście lat i żadnych perspektyw. Ukrywam się w jakiejś spelunie dzięki uprzejmości kumpla, który mnie wkręcił w rozrywkowe towarzystwo. Anka zerwała ze mną z głupiego powodu. Przecież nie jestem narkomanem. Nad wszystkim panuje, a przynajmniej, tak mi się wydaje – wykrzywił usta w sarkastycznym grymasie.

Zdolowany wysunął najpierw lewą, a później prawą nogę spod niezbyt czystego koca. Powoli usiadł na brzegu skrzypiącego łóżka. Bezmyślnie patrzył na balagan z wczorajszej libacji. Sięgnął po butelkę z piwem do połowy pełną i łapczywie je wypił – no, trochę lepiej – powiedział – Może wreszcie wstanę i zacznę trzeźwo kombinować – Zaśmiał się do samego siebie, ponieważ już od dawna nie myślał trzeźwo. Dzisiaj też nie będzie trzeźwy, jutro pewnie też i pojutrze...

– Zaraz, co ja wyrabiam – wrzasnął głośno, aż echo odbiło się od pustych ścian – wyjdę na dwór, może oprzytomnieję i zacznę myśleć.

Trochę niezdarnie zakładał spodnie, koszulę i kurtkę z kapturem. Zarzasnął drzwi z dużym rozmachem, chciał w ten sposób zostawić za sobą narastającą złość.

Chwiejnym krokiem ruszył po schodach. Wyszedł na zimny dwór, mamrocząc pod nosem przekleństwa, wyrażające jego niezadowolenie.

Nieprzemakalna kurtka z kapturem chroniła go od wiatru i deszczu, pomimo to zimno przenikało jego ciało mocnymi dreszczami. Po chwili gwałtownie skręcił i wszedł na klatkę brzydkiego wieżowca na Woli. Winda dotarł do celu i zapukał do drzwi, a w nich natychmiast pojawił się mężczyzna o groźnej twarzy. Spojrzał na Łukasza i używając niewybrednej polszczyzny, ruszył energicznie w jego stronę. Zamachnął się na niego, krzycząc, że nie chce go już więcej tu widzieć. Brutalnie wepchnął go do windy i odesłał na parter. Oszołomiony Łukasz nie przypominał sobie, w czym mu zawinił, ale chyba musiał porządnie przeszkrobać.

– Teraz mam wszystko przechłapanie! Wywali mnie ze strychu! Gdzie będę mieszkał? On jest szefem całej naszej ferajny! Mam przechłapanie! – powtarzał nerwowo.

– Do Anki też nie mam po co dzwonić. Od dawna nie odbiera ode mnie telefonu. Rodzice nie chcą ze mną mieć do czynienia od czasu, jak ich bez skrępulów okradłem. Przydzielili mi nawet kuratora, przed którym się ukrywam. Chcą mnie posłać do poprawczaka. Ale ja nie dam się im złapać. Szybciej utopię się w Wiśle i to chyba jest najlepszy pomysł.

Zdecydowanym krokiem skierował się w stronę mostu Gdańskiego. Nie czuł już zimna, ani deszczu, tylko emocje. Zatopił się w swoich pochmurnych myślach. Od jakiegoś czasu powracała wizja samobójstwa, dzisiaj był całkowicie przekonany, że nie ma innego wyjścia. Wewnętrzna walka, między chłopakiem, który miał ideały, a tym co się z nim obecnie działo, rozwałała go zupełnie. Powoli i skutecznie deszcz rozmywał prawdę o nim samym. Podświadomie wiedział, że chciał być kimś przez duże K, ale teraz, ten ktoś dziwny, boleśnie odkrywa niezbrane zakamarki jego osobowości. Tłumaczy mu, że życie nie ma sensu, wypełnia go pesymizmem. Fizycznie czuje jego presję. Gdyby był wierzący, powiedziałaby, że to diabeł wciąga go w bagno grzechu.

– Aj tam, muszę być konsekwentny. Jeżeli nie wierzę w Boga, nie mogę wierzyć w złego ducha – westchnął.

– Chociaż, dlaczego wybieram takie życie? Kiedyś tak nie było. Nie widzę już żadnej logiki w swoim postępowaniu: poprawczak, albo szybkie rozwiązanie – zaśmiał się ponuro i podjął ostateczną decyzję.

Od pewnego czasu był już na moście. Samochody przejeżdżały w strugach deszczu. Kierowcy nie zwracali na niego uwagi. Przełożył nogi przez barierkę i przycupnął na betonowym występie nad Wisłą. Skulił się w sobie. Chciał jeszcze przez chwilę powspominać dobre czasy, gdy zakochany w Ance potrafił śpiewać ze szczęścia i tańczyć z nią aż do rana. Ciepłe krople lez spływały po twarzy, a jego serce zalane strugami jesiennego deszczu drżało nie tylko z zimna.

– Koniec, już koniec, po prostu koniec – wypowiadał te słowa, cedząc je przez zęby. – Już nigdy nie zaznam miłości. Kto mnie jeszcze pokocha tak jak Anka? Nikt, nikt! – krzyczał szeptem.

Na moment zastępnął w bezradności, patrząc w szarą toń wody. Wydawało mu się, że słyszy rozkazujący głos pełen nienawiści, takiej samej jaka wypełniała jego umysł.

– Skacz, na co czekasz! Jesteś nic nie wart! Nikt nie będzie po tobie płakał! Samobójstwo jest najlepszym rozwiązaniem! Skacz! Skacz! Skacz!

Był i drugi głos cichy i ciepły. Podobny do głosu matki. Pomimo chłodu, deszczu i wiatru, pozwolił sobie na refleksję. Propozycja skończenia ze sobą była bardzo ponętna, ale coś go trzymało, ciągnęło do ludzi, których kochał.

– Oni mi nie przebaczą – powtarzał. – Nie przyjmą mnie do siebie. Za dużo wyrządziłem im krzywd. Za dużo.

Nagle w wodzie odbiła się straszna twarz szatana, oszpecona nienawiścią. Przestraszony poderwał się na równe nogi. Chciał przeskoczyć balustradę i uciekać jak najszybciej z tego miejsca. Niestety, poślizgnął się i spadł prosto w odmęty spienionej rzeki. Pomimo ogromnego strachu poczuł czyjąś obecność. Anioł, o którym słyszał w dzieciństwie, był przy nim. Chłopak wyciągał do niego ręce, krzycząc – pomóż mi! – A z daleka nadal widział brzydką twarz diabła z bezczelną, zadowoloną miną zwycięzcy.

Znienacka nad swoją głową poczuł mocne uderzenia czarnych skrzydeł. Anioł i diabeł rozpoczęli bój. Zawzięty bój. Bój o jego życie.

Z pluskiem wpadł do lodowatej wody i długo nie mógł złapać oddechu. Silny nurt zatapiał go co chwila, wiry wodne ciągnęły w dół. Walczył z całych sił. Ale słabł z każdą sekundą i coraz częściej był pod wodą, niż na powierzchni. Stracił przytomność i znalazł się w kryształowej wodzie wypełnionej ciepłym światłem. Oddychał swobodnie. Czas tu płynął leniwie, jakby już nigdzie się nie spieszył. Łukasz rozglądał się dookoła. Widział tylko światło pulsujące ogromną miłością. Nigdy przedtem nie czuł się tak cudownie. Ponure myśli zniknęły. Czuł się kochany, bardzo kochany. Ze szczęścia zamknął na sekundę oczy i ocknął się dopiero na brzegu.

Wokół niego stało parę osób i mężczyzna ociekający wodą, który z uśmiechem na twarzy powitał go słowami:

– Było ciężko, ale jakoś udało nam się wyrwać ze szponów śmierci.

Gdy karetka na sygnale podjechała, aby zabrać Łukasza do szpitala, mężczyzna, ten w mokrym ubraniu, uklonił się serdecznie i zniknął w tle szarych chmur.

Później w szpitalu, Łukasz pytał, czy ktoś widział, kto go wyciągnął na brzeg. Ale nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Leżał więc na szpitalnym łóżku i rozmyślał nad wydarzeniami, które powoli, ale diametralnie, zmieniały jego postawę. Wiedział, że poniesie konsekwencje za popełnione błędy. Pomimo to był spokojny, pełen radości i zaczął dostrzegać sens swojego istnienia.

W tym momencie do sali weszła Anka. Stała nieśmiało, niepewna swojej decyzji. Absolutna cisza wypełniła cały pokój. Łukasz patrzył na nią, jak na najpiękniejsze zjawisko. Pomyślał, że dla niej jest gotowy zrobić wszystko. Wszystko, aby do niego wróciła, wszystko, aby mu przebaczyła...

# Henryk Ditchen

## Dotyk

Tak! Osoba niewidząca  
Poprzez dotyk całe życie  
Czuje smugi świetlne słońca,  
Śnieg i deszcz i gradobicie.

Wnet śnieżynka kształt swój straci  
I zmienia się w ciekłą kroplę.  
Przepięknie to wytłumaczy,  
Zwisające z dachu sople...

Więc mierzy się wysokości  
Wciąż ilością schodów w bloku,  
A przeróżne odległości  
Zrobioną tam liczbą kroków.

Nie ma żadnej też różnicy  
Między dniem a ciemną nocą,  
Nie wzrusza się nigdy licem,  
Gdy gwiazdy przez noc migocą.

W jednakowym też kolorze  
Różne kwiaty i liście drzew,  
Domy, góry, słone morze,  
Kwaśne mleko i ludzka krew...

Wyraża się swe uczucie  
Łącząc czule ciepłe dłonie.  
I przez słodkie w sercu klucie,  
Że miłością dusza płonie.

## Krople

Poznała Kropla raz w niebie Kroplę,  
Razem latały gdzieś sobie w chmurach.  
Pod nimi pola, stawy i groble  
I śnieg błyszczący na szczytach w górach.

To lądowały rosą na trawie,  
To w dzień znów na niebo powracały.  
Beztrosko płynął ich czas w zabawie,  
Dla nich otworem stanął świat cały.

Lubiły one swoje okrycie  
Krucze śnieżynek bielutkie szaty,  
A później, przyszedł czas na współzycie,  
W duże popadły w mig tarapaty.

Nikt nie uwierzył w szczerłość ich uczuć,  
Górują twarde tu przekonania.  
Naszych zwyczajów nie należy psuć!  
Fanatyczki chcą batem schlastania.

Starają się Grad i Szron, i Sople,  
Wciąż nieżonaci na razie goście.  
Kochać ich wcale nie chciały Krople,  
Bo w jednopłciowej trwają miłości.

Piorun zarządził w tej samej chwili:  
Córy Safony wtem poddać karze,  
Żeby tradycje mieszkańcy czcili,  
Temida ostro tę inność skaże.

I niebiańskiego padł wyrok sądu:  
Krople zamieścić w podkowie Tęczy.  
Jako ogólny akt ich osądu,  
Żeby na sprośność nie miały chęci.

### **Ballada o taboretowej nodze**

Noga taboretu wysokiego – prawa,  
Ta wyrzeźbiona ze szlachetnej dębiny,  
Tytuł Hrabianki chce mieć na mocy prawa.  
Jest z wyższego szczebla społecznej drabiny.

Inne nogi z drewna prostego pochodzą,  
Ni to wyrzeźbione, ni to heblowane,  
Nie trzymają nigdy pionu na podłodze  
I na czarny kolor są pomalowane...

Nie można wszystkich nóg traktować na równi!  
Zabrakło powagi dla nóg wyrzeźbionych.  
Byli na świecie i zawsze będą główni  
Pośród szarych osób albo mas tępionych...

Nieważne, że nie ma siedzenie oparcia  
I jest twarde, a nie wyścielane pianką,  
Ze chwieje się podczas i picia, i żarcia.  
Grunt, że prawa noga wnet będzie hrabianką.

A kto nie rozumie tego jak należy,  
Odpowiedni organ pojąć mu pomoże:  
Od decyzji prawej nogi wciąż zależy,  
Kto na taborecie usadzić się może.

I właściciel mebla wraz podjął decyzję,  
Referendum wcale nie rozstrzygnie sprawy,  
Z istniejącym prawem on wejdzie w kolizję  
Bez wyroku, tak jak i bez szans naprawy...

Zmienił rzeźbioną na nogę heblowaną  
I maznął na czarno, żeby pasowała  
I była dla innych nóg kopią lustrzaną,  
A żeby nikogo już nie znieważała.



# Maria Domżał-Wasilewska

## Medytacja

Każdy dzień jest cudem,  
a niepewność jak cień  
podąża za nami.  
Przyziemne sprawy otaczają,  
zacieśniają krąg,  
piętrzą się.  
Stawiają nas w szachu.  
Jak uniknąć mata?

Twój osobisty komputer – mózg,  
pracuje bez przerwy.  
Chwilami się zawiesza.  
Odpływa w nieznaną dale.  
Myśli przychodzą i odchodzą.  
Skąd – dokąd?  
Zasłona opada  
i czujesz...  
wszechogarniającą jedność.

*Warszawa, marzec 2005*

## W kościele

W kościele z bazaltowych ciosów zbudowanym,  
którego wieże przez wieki  
w wodach rzeki Moj  
jak w lustrze odbite,  
znalazłam starą celtycką modlitwę:

Wierzę w słońce,  
choć nie świeci.  
Wierzę w miłość,  
choć jestem sama.  
Wierzę w Boga,  
choć Go nie widzę.  
Cóż mogę dodać?

Wierzę w swoją gwiazdę,  
choć jest daleko.

*Ballina, maj 2003*

## **Podróż kosmiczna**

Na błękitnej planecie krążysz w kosmosie  
po wyznaczonej orbicie.

Twój kombinezon – skóra, chroni cię.  
„Głowica” wyposażona jest w receptory  
umożliwiające ci prowadzenie obserwacji  
i badań środowiska.

Twój osobisty komputer – mózg  
ma ogromną pojemność,  
której jeszcze nie potrafisz wykorzystać.  
Używasz zaledwie kilku procent do przetwarzania danych.  
Twoje wewnętrzne narządy prowadzi automatyczny pilot.  
Twój aparat ruchu napędza dobre paliwo,  
mieszanka specjalnie dla ciebie przygotowana.  
Masz również mechanizmy samonaprawcze.

Jesteś znakomicie wyposażony do swojej kosmicznej podróży.

Nie wiesz jednak do końca,  
kto cię tak wyposażył?  
Kto wysłał cię w podróż  
i z jakim zadaniem?

A może wiesz?  
A może nie chcesz wiedzieć?

*Warszawa 2003*

# Urszula Dyjasińska

## W teatrze złudzeń

Motto:

*.. jeżeli Los zetknął mnie  
ze złośliwym i tępym  
w jednej osobie –  
rezygnuje,  
uciekam,  
nawet płaczę.*

Od wschodu do zachodu słońca  
rozpiera się cywilizacja,  
a głupiec wciąż idzie donikąd  
i szczerzy kły złośliwiec.

Ze wszystkowiedzącym nie porozmawiasz...

W teatrze złudzeń zwycięża niepamięć.

## Są słowa jak zaklęcia

Są słowa jak zaklęcia  
Tylko je znaleźć.  
Napisać wiersz  
tak prosty i oczywisty  
jak ranek dnia następnego.

## Nostalgia

Pamiętam łąkę mojego dzieciństwa  
z kwiatami tańczącymi na wietrze.  
Kochałam się na zabój  
w niebieskich chabrach i białych rumiankach.  
Radość i piękno trzymały się za ręce...  
Minęły lata.  
Zmienił się świat.  
Inna już była łąka

Miejsce kwiatów  
zajęły kąkole.  
Tęsknota i żal pokazały, co potrafią.  
Kiedyś częściej spotykałam  
ludzi serdecznych...  
Teraz człekopodobni  
ranią jak kąkole...

## Nieborak

Był sobie nieborak.  
Ciągle gdzieś się śpieszył  
w dziurawych butach,  
prawie boso.  
Serce swoje sprzedawał  
i śmiał się  
z siebie  
i płakał...

## Smuga cienia

Jak cień  
idzie za tobą  
odrzuca pragnienie...  
Niczym wilk  
zawodzi do księżycy  
dawne marzenie...  
Za dnia  
rzeczy są takie oczywiste.  
Gdy światła coraz mniej  
rzeczywistość nabiera wieloznaczności.  
Zacierają się granice.  
Dzień przechodzi w noc.  
Cisza w krzyk.  
Pewność w zwątpienie.  
Wszystko zmienne i kruche  
jak promień słońca  
i nieodłączna smuga cienia.

# Hanna Fołtyn

## Historia pewnego romansu

Szedł ku niej  
z błyszczącym wzrokiem,  
z otwartymi ramionami,  
mówiła – chodź, Kocham cię,  
chcę z Tobą być,  
a słowa wtulały się miękko  
w jego ciało,  
obejmowały go czułością,  
wielością obietnic.

Odchodził do innej.  
Krzyczała – wróć, Kochaj mnie,  
nie chcę bez Ciebie żyć,  
ale słowa odbijały się  
od jego twardych pleców,  
upadały na bruk,  
rozpryskiwały się  
na ostre odłamki liter  
bez znaczenia.

Wracał do niej,  
róże w jego rękach  
krwawiły czerwienią.  
Szeptala – dlaczego,  
czy da się powtórzyć miłość?,  
a pytania spływały po nim  
łzami nieporozumień  
tworzyły wokół nóg kałuże  
pełną niewiary.

## Modlitwa

W objęciach twych ramion  
Z ustami przy twym uchu  
Wyznaję ci moją niewinność  
Wyznaję ci moją miłość  
Wyznaję ci moje grzechy  
I nie wódź mnie na pokuszenie  
Ale chroń mnie od złych ludzi  
Pokaż mi naszą wspólną drogę  
Nie pozwól mi zejść na manowce  
Przymknij oczy na moje ciało  
Daj mi nadzieję na dobry koniec  
Nie zostawiaj mnie samej sobie  
Bądź ze mną  
Bądź obok  
Bądź dobry  
I nie wódź mnie na zatracenie  
Ale chroń mnie od złego świata  
Byśmy mogli cieszyć się życiem  
Byśmy umieli kochać.

## Figi

1

Zadzwoił do niej późną jesienią po kilku miesiącach nieobecności, podczas których nie dzwonił, nie pisał, nie ujawniał się na forach społecznościowych. Po prostu zniknął z jej życia bez zapowiedzi, jakby wyparował, choć mieli znów przynajmniej tydzień spędzić na jachcie w Chorwacji.

Znali się jeszcze ze studiów, nawet trochę ze sobą wtedy chodzili, czyli bywali w kinie, teatrze, na studenckich bibkach i na piwie w Harendzie, czasami szli do łóżka, ale żadne z nich nie przywiązywało szczególnej wagi do związku. Czuli się wolni i każde zajmowało się swoimi sprawami.

Po studiach każde poszło swoją drogą i przez trzydzieści lat żadne nie czuło potrzeby, żeby się ze sobą kontaktować. On został na Uniwersytecie, ona weszła w korporację.

Spotkali się przypadkowo na jakimś rauciu, na którym przedstawiciele władzy, biznesu i nauki mieli się zastanawiać nad przyszłością polskiej gospodarki, a w rzeczywistości wygłaszali niewnoszące nic nowego mowy, a potem zwyczajnie pili i wykorzystywali znajomości do załatwiania prywatnych spraw.

Właśnie z kieliszkiem wina w dłoni rozmawiała z jakimś dupkiem z ministerstwa, gdy odniosła wrażenie, że ktoś uporczywie jej się przygląda. Objeżdżała się. Stał pod ścianą ze szklanką whisky w ręku, wysoki, przystojny, dobrze ubrany i patrzył na nią z radością i zadowoleniem. Szybko pożegnała dotychczasowego rozmówcę i podeszła. Przywitał ją wylewnie, nie szczędząc komplementów. Powiedziała, że też prawie się nie zmienił. Uśmiechnął się filuternie – może, powiedział – tylko włosy uciekły z mojej mądrej głowy. To prawda, nie miał już blond czupryny, ale jej się to podobało. Przypominał trochę Bruce'a Willisa, którego bardzo lubiła, zwłaszcza gdy się zestarzał i wylusiał, nabral wtedy klasy. Więc podniosła dłoń, dotknęła jego głowy i powiedziała – teraz jest zdecydowanie bardziej seksi.

Ona też doskonale wyglądała, w końcu miała pracę, w której liczyła się dobra prezencja, a poza tym zawsze była szczupłą, ładną szatynką. Mała czarna z dużym rozcięciem na plecach i wąskim dekoltem podkreślała wszystkie jej walory.

Przyciągnął ją do siebie, przytulił, a ona w tym tłumie poczuła się jakoś radośnie. Dosłownie w kilku słowach streścił jej swoje życie: jest profesorem belwederskim czyli zwyczajnym, ożenił się, ma dwoje dorosłych dzieci, syn już po studiach pracuje w dyplomacji, córka kończy studia medyczne, wybudował dom pod Warszawą, ma kilka dodatkowych etatów i fuch, ale ogromnie się cieszy, że ją widzi.

Ona zobowiązana jego zwierzeniami powiedziała tylko, że zrobiła karierę w marketingu, piastuje dyrektorskie stanowisko, nie wyszła za mąż, bo przeważyło poczucie wolności (naprawdę to po prostu nie miała szczęścia do facetów), prowadzi ciekawe życie i też ogromnie się cieszy, że go widzi..

Tego wieczoru wylądowali u niej w sypialni, przypominając sobie dawne, studenckie czasy i ciesząc się sobą wzajemnie.

Potem spotykali się czasami, gdy w ferworze pracy udało im się wygospodarować kilka uroczych chwil. Jakiś obiad w dobrej restauracji, kolacja w pubie z jazzem, seks w jej mieszkaniu, przyjazne i ciekawe rozmowy przy kawie z koniakiem.

Najmieszniejsze w tym wszystkim było to, że ona była z dziesięć lat starsza od jego żony, a klasyczna zdrada polega na tym, że facet szuka sobie młodszej i kochanki bardziej pociągającej niż żona. Zastanawiała się czasem, jak on się czuje, zdradzając, ale chyba to nie było dla niego nic nowego, bo kiedyś napomknął, że sypiał ze wszystkimi swoimi doktorantkami. Zapewne przyjął taki styl opieki naukowej. Ona na szczęście nie miała dylematów, nikogo nie zdradzała, bo właśnie z nikim nie była, a teraz czuła się trochę do niego przynależna, choć nie miała zamiaru rozbijać mu rodziny ani też być z nim nazbyt długo.

Aż późną wiosną zaproponował jej wyjazd na pięć dni do Chorwacji. Miał to zaplanowane już od dawna, bo umówił się na wynajęcie jachtu i pływanie między wyspami na Adriatyku. Ona wykorzystała jakiś zaległy urlop, wyrwała się z korporacji z największą radością. Jechali samochodem półtora dnia z noclegiem w uroczym austriackim hotelu. A potem cudowne, słoneczne dni, błękitne morze, upojne noce pod gwiazdami gdzieś przy brzegu bezludnych wysp, pyszne kalmary w przytulnych knajpkach, doskonale wino, ciekawe rozmowy i przekomarzanie się, spacer po pięknych, nadmorskich miasteczkach.

Pewnego dnia poszli zobaczyć twierdzę na szczycie wzgórza w Szybeniku. Przy pięknym cmentarzu zobaczyła rozłożysty figowiec. Była zachwycona, bardzo lubiła figi, a w kraju były tylko suszone, z rzadka można było dostać świeże figi, były drogie i kupowane na sztuki. A tu były na drzewie. Niestety jeszcze małe i niedojrzałe, niezdatne do jedzenia. To nie był jeszcze sezon na figi. Ale drzewo było przepiękne, a zapowiedź owoców urokliwa.

Musieli wracać, ale umówili się, że wczesną jesienią znów tam pojadą i znów zrobią sobie cudowne wspólne wakacje. Byli przecież tam szczęśliwi. Ona bez żadnych obciążeń, on z całkowitą niepamięcią o żonie, rodzinie i obowiązkach. Jakby znaleźli się w innej czasoprzestrzeni.

Ogromnie się cieszyła na ten drugi wyjazd. Ustawiła sobie tak prace i ludzi, że w każdej chwili mogła zrobić sobie tydzień przerwy. Marzyła o spacerach, pływaniu, dobrym winie i seksie, ale przede wszystkim planowała codziennie jeść figi, słodkie, pełne soku i ziarenek, miękkie, delikatne i pachnące.



Ale on już jej nie zaprosił na następny wypad. Nie wyjaśnił dlaczego. Przestał się odzywać, nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na maile, więc ona szybko przestała się do niego dobijać. Dopiero gdy za oknem polska szara, deszczowa jesień rozmazywała świat, niespodziewanie zadzwonił i zaprosił ją do doskonałej restauracji. Miała ochotę powiedzieć nie, ale z drugiej strony, spodziewała się, że wreszcie dowie się, co się stało.

Spotkali się. I znów jakby nie było tych kilku miesięcy nieobecności, objął ją i przytulił, a jej zrobiło się ciepło w środku.

Usiedli przy stoliku. Dostali dobre chorwackie wino. Zaczął mówić, że tęsknił, że nie mógł, że musiał zabrać córkę do Chorwacji, po jej końcowych egzaminach, że niestety ma zobowiązania... Słuchała, nic nie mówiąc. Mogła to zrozumieć, tylko dlaczego się nie kontaktował, dlaczego jej nie wytłumaczył, wtedy.

### 3

– I wiesz – powiedział w końcu – wracając kupiłem kilogram fig, ale nie wiedziałem jak je jeść, w końcu się zepsuły i wyrzuciłem je do kosza.

Nie pamiętał, jak ona lubi figi! Zapomniał, jak mu pokazała drzewo figowe! Nie przyszło mu do głowy, żeby kupić dla niej wielką torbę tych owoców i dać jej, żeby ich słodycz choć trochę zrekompensowała to, że jej nie zabrał ze sobą!

Poczula w ustach gorzycz, może od wina, może z żalu. Popatrzyła na niego. Uznała, że już więcej nie chce.

– Wiesz, myślę, że już pójdę i wydaje mi się, że już nigdy nie będę mieć dla ciebie czasu – powiedziała szykując się do wstania od stołu.

– Ale dlaczego, jaki jest powód – spytał zaskoczony.

– Powodem są figi, mój drogi! Figi to niezwykle owoce. Nie doceniłeś ich. – Wstała i nie podając mu ręki, wyszła z restauracji.

### Zostań

– Dokąd idziesz? – zapytał Tracz, widząc, że Traczka taszczy walizkę z pawlacza i zaczyna wrzucać do niej co popadnie.

– Nie idę, lecz odchodzę – odpowiedziała zajęta pakowaniem.

- Widzę, że odchodzisz, ale nie powiedziałaś dokąd.
- Człowieku, nie odchodzi się „dokąd”, lecz od kogo. A ja właśnie odchodzę od ciebie!
- Domyśliłem się, ciągle jednak nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
- Na jakie pytanie?
- Na pytanie: „dokąd”?
- Dokąd, ha! tak naprawdę, to sama jeszcze nie wiem – powiedziała Traczka. Przerwała pakowanie i przysiadła na brzegu fotela.
- Słuchaj – powiedział Tracz – jeśli nie masz dokąd odejść, to może wróć do mnie albo raczej zostań...
- Traczka popatrzyła na niego długo i uważnie. Potem wstała i wolno zaczęła wypakowywać walizkę.

## Iza Galicka

### Fast

Tu nie ma czasu  
Na zamyślenie i refleksję  
Żyjemy przecież w świecie Fast  
Szybkie samochody  
Szybkie jedzenie  
Szybka miłość  
...  
Nawet od Niej żąda się szybkości  
Nikt nie będzie się przecież  
Bawił w moralitety  
Ars moriendi  
To przeżytek średniowiecza  
Dziś tylko igła  
I skok w nicość  
Profesjonalnie i sterylnie

### Sztuczne piekła

W szatana już nikt nie wierzy  
Poza nalogowcami komputerowych gier  
I miłośnikami fantasy  
Niektórzy  
Wierzą jeszcze w Czerwone Diabły  
Ale to też tylko do półfinału  
Piekło wyraźnie  
Straciło na temperaturze  
Za to zyskało na wysokości  
To poprzeczka  
Przesuwana coraz wyżej  
Do której nigdy nie doskoczysz  
Dlatego zsuwasz się w czarny lej  
Po bombie  
Która wybuchła w twojej głowie  
To tylko piąte załamanie nerwowe  
Tłumaczą ci aniołowie w białych kitlach  
Sprawni i chętni

Proponują ci zbawienie na kozetce  
I codzienną komunię z Prozacu  
Wtedy na pewno  
Staniesz się znów dla siebie  
Bogiem

## **Ogórek i Bursztyn. Z kroniki rodzinnej** (forma nieczysta)

Okupacja w miasteczku W.  
Dziadek miał fabrykę ozdób choinkowych  
Z szyldem „Świecidelka”  
I sklep niczym Wokulski  
...  
Miasteczkiem rządził zniechęcony Ogórek  
Pól-Niemiec, pół-Ślązak  
Mówił dziadkowi – Dzień topry –  
I kupował czekoladę  
Moja matka, dwuletnie dziecko  
Umierała na zapalenie płuc  
Ogórek sprowadził z Rzeszy lekarstwa  
Mamo, zmów czasami zdrowaśkę za Ogórka  
Którego zlikwidowali w końcu  
Leśni chłopcy  
Poniekąd  
Dzięki niemu jestem  
...  
Bursztyn siedział u dziadka w piwnicy  
Czuł się bezpiecznie  
Mimo że całe miasteczko wiedziało  
Ogórek też  
Pod koniec wojny  
Bursztyn wyjechał do Ameryki  
Zostawił dziadkowi trzy futra  
I kilka obietnic  
Wrócił po wojnie  
Zapomniał o futrach  
Za to zaproponował dziadkowi  
Interes życia w Stanach  
Dziadek nie uwierzył Bursztynowi  
Nie uwierzył też w nacjonalizację  
Został z domiarem trzech milionów złotych

I pustym mieszkaniem  
Gdybym znała kadisz  
Odmówiłabym go za Bursztyna,  
Dzięki któremu  
Omal nie zostałam  
Wnuczką milionera

## Ostatnie kuszenie doktora Faustusa

Dobiegła północ. Stary Faustus z niechęcią i rezygnacją odłożył księgę: – Sapientia – westchnął – vanitas... Roztarł zgrabiałe dłonie, omiółl wzrokiem atanor, liczne gady i homunculusy piętrzące się w słojach. Potem, z jeszcze większym obrzydzeniem, grymuary i inkunabuly, ułożone na półkach i rozrzucone w nieregularnych stertach. Potraktował je tylko ironicznym uśmiechem. W tym także napisane przez siebie. – Omnia vanitas...- wymamrotal. Niespodziewanie w tej właśnie chwili rozległ się dźwięk dzwonnów z pobliskiego kościoła. –Zawsze ktoś musi zakłócić ciszę – pomyślał mędrzec, mocno już poirytowany – O tej porze? – Tak szybko, jak pozwalało mu na to zmaltretowane wiekiem artretyzmem ciało, zamknął gotyckie okno pracowni. W tym momencie zgasła świeca. Gdy usiłował ją ponownie zapalić, z górnej półki spadło na stół opasle tomiszcze. – Scientia occulta – Faust odczytał złocone litery na okładce. Przerzucił machinalnie parę kartek. Jego wzrok zatrzymał się na zdaniu „Finis coronat opus”. – Wzdrygnął się i niepewnie odczytał kolejne słowo – „Veni”. – Nagle materia przeciwległego krzesła jak gdyby spuchła, zaczęła drgać i pęcznieć. Stopniowo wylaniała się z niej smuga dymu, krystalizując się w postać. Gość, w kwiecie wieku, był odziany na niemiecką modłę, ale z francuską finezją.

– Witam, Herr Doktor!

– Kimżeś jest? – zapytał gospodarz.

– Och, przecież znamy się świetnie. Tyle razy przyzywałeś moich podwładnych, stojąc pośrodku pentagramu...

– Mefisto! Co cię, u diabła, tu sprowadza? – w głosie alchemika zabrzmiała nuta irytacji.

– Myślę, że sytuacja dojrzała do poważnej rozmowy. Twoja sytuacja. Porozmawiajmy więc, jak intelektualista z intelektualistą. – Faust nie był pewien, ale wydało mu się, że słyszy ironię.

– Hm, czemu nie jak poeta z poetą?

– Bo chciałbym ci zaproponować kontrakt. Niezwykle korzystny, jak mniemam. Podpiszesz mi, o tutaj... że oddasz mi własną duszę, w którą i tak, jako agnostyk nie wierzysz, w zamian za... no, powiedzmy, młodość.

– „Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”. Cóż, obydwaj wiemy, kto tak napisze. – „Ależ jestem sarkastyczny” – pomyślał Faust.

– Do tego szkatuła z cennymi klejnotami i złotem...

– Poczytaj Koheleta, jeśli zapomniałeś. – Uśmiech Fausta był ewidentnie złośliwy.

– I najpiękniejsza na świecie Małgorzata, sama czystość i niewinność...

– Wszystko piękno bieleje do kości w dance macabre.

Mefisto jednak nie ustępował:

– A ta chwila, którą będziesz kochał bardziej niż wieczność?

– Wieczność potrafi być chwilą, a chwila wiecznością. Nie licytujmy się paradoksami.

– Więc czego pragniesz, Faustusie? – diabeł podniósł głos o jeden ton.

– Otwórz moje serce na życie! – wypalił stary doktor.

– I'm sorry, jestem tylko posłańcem śmierci. Czyli duchowej samotności i wiecznego wygnania... – spod czarnego kapelusza popłynęła jedna, czarna łza. – Za mnie do odejścia – dodał z odrobiną pretensji w głosie. – Czy nie będziesz tego żałował?

Stary doktor wzruszył ramionami. Płomień świecy się zachwiał. Postać gościa traciła coraz bardziej kontury i spójną strukturę, aż w końcu zupełnie się rozwiała. Faust zamrugał. Wzdłuż komnaty przebiegła mysz. Przez chwilę wpatrzyła się w mędrca czarnymi ślepkami. A może mu się tylko zdawało...

# Jolanta Maria Grotte

## Dla Ciebie

*Wiesławowi*

Uplotę Ci wianek z polnych kwiatów,  
Pachnących słońcem i wiatrem letnim.  
Ubiore suknię w kolorze zboża,  
Motylem przybiore i zielem łąki.

Poranną rosą pobiegne boso,  
Bezdrożem, ścieżką radosnych chwil.  
Pozrywam kwiaty wszystkie na łące,  
Dla Ciebie... byś tylko był.

Śpiewem ptaków przewiążę wstążką  
Chwile razem przeżytych dni.  
Pozbieram okruszki szczęścia na szlaku  
Jesiennej drogi, gdy będziemy szli.

Popatrzę jak dawniej z Tobą na słońce,  
Uśmiech przytuli siwe skronie.  
Ręce się spleta jak wtedy,  
Gdy młodzi byliśmy... obydwójce.

*02.06.2017*

## Mój świat

W moim oknie czas rzeką płynie,  
Pejzaże wiosenne malują obrazy,  
Pogodne lato ogrzewa stare dłonie,  
kolorowa jesień pod nim co roku przechodzi.

Zimową porą mróz kwiaty przynosi,  
Kompozycje z nich piękne układa.  
Choć zima mroźna, wciąż ciepło czuję,  
Gdy patrzę przez okno z nadzieją.

W moim oknie budzi się życie,  
Zagląda tu słońce lub księżycyca luna.  
Zanim dzień przemieni się w noc,  
Widzę w nim świat, który wciąż ucieka,

...nie mogę go dotknąć.

15.12.2017

## Widzieć jaśniej

Ciemnieje paleta jasnych barw,  
Dzień pomalu wypełnia się nocą.  
Iskierka nadziei drży w sercu płomykiem,  
Czeka na powrót ostrości.

Tak ciężko jest żyć, gdy oczy źle widzą,  
Za mgłą, jak w sepii toczy się życie.  
Monotonna szarość zacieśnia horyzont,  
Nie pozwala cieszyć się światem.

Choćby jeszcze jedną chwilę,  
Oczy pragną spojrzeć wyraźnie.  
Podziwiać krajobrazy, kolory tęczy,  
Zachwycać się naturą przed snem.

Pomalu noc wypełnia dzień.

Nadziei iskierka wciąż tli się...

30.12.2017

## Wyzwolenie

*Kiedy zaczyna się miłość  
kończą się wolność.*  
Andrzej Zaniewski

Znalazłam MIŁOŚĆ na drodze



Gorącą  
Szaloną  
Dziaką jak zwierz.

Leżała opuszczona... niczyja,  
Wyrzucona na bruk jak śmieć.

Wtargnęła do serca mojego  
Nie pytając o zgodę.

WOLNOŚCI krzyknęła...

Nie odrzucaj mnie!

05.09.2016

## **Halo... Proszę...! Słucham...?**

*(fragment powieści wydanej w 2017 r.)*

Zamknęła oczy, by je zaraz otworzyć i sprawdzić czy ta czarna ciemność jest naprawdę prawdziwa. Marek bardzo szybko zasnął. Czula na twarzy jego piwny oddech. Wtulona w silne jego ramiona próbowała w ciemności dostrzec kontury przedmiotów, jakie znajdowały się w pomieszczeniu.

Choć wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, dalej nic nie widziała. Nagle w rogu pomieszczenia, tuż przy ich głowach, usłyszała mocne chrobotanie. Aż drgnęła z przerażenia. Przestraszona przyłgnęła mocniej do Marka, który spał jak kamień, nie słysząc niczego. Poruszyła się próbując zagłuszyć to natrętne skrobanie. Nawet chrząknęła głośno kilka razy, po czym nagle natarczywe odgłosy ucichły. Uspokoiła się, gdyż przez długą chwilę zapanaowała cisza. Chciała jak najszybciej zasnąć. Oczy pomalu zaczęły się same zamykać. Już zasypiała, gdy nagle znów usłyszała głośne chrobotanie, przeraźliwy pisk i tupanie małych istotek. Ze strachu otworzyła szeroko oczy, chcąc dojrzeć, co się dzieje. Odgłosy nasilały się coraz bardziej, jakby ktoś skrobał scyzorykiem ściany i podłogę.

Znowu głośno mruknęła, by chrobotanie umilkło, ale to nie pomogło. Było coraz głośniejsze i głośniejsze. Ze wszystkich kątów dochodziły skrobania, drapania i piski. „Co za noc” – pomyślała. – „To pewnie myszy”. Musi być ich tu mnóstwo. Jak harczą! Czy dadzą mi przespać tę noc? Ale się

rozbrykały. Nakryła głowę koldrą, by nie słyszeć hałasu, jaki panował w pomieszczeniu. Zrobiło się jej duszno i zmuszona była odkryć głowę.

Marząc tylko o śnie, w dalszym ciągu słyszała różne odgłosy. Tym razem myszy zaczęły biegać, ganiać się po podłodze tam i z powrotem, z kąta w kąt, tup... tup... tup... Piszczwały przy tym bawiać się w berka. Gdy wreszcie się uspokoiły, spokojnie zasnęła. Nie trwało to jednak długo. Obudził ją dziwny hałas na strychu. Jakby ktoś chodził i coś tam przestawiał.

## Zofia Kamola

### O, Temido!

rozgardiasz i tumult  
zewsząd dokoła

duszycki uczynków  
śmigają na rolkach  
etyki – mniemanej  
na dziś

krucha twa poza  
boginko urzędu  
pękającego w szwach

szkodnik podgryza  
mury prawości –  
jak kornik  
ukrył się w aktach  
w kolejce do spraw

marna cierpliwość  
skazańca i kata

Kto wygra?  
...z ciężarem szali  
dostojnej twej Wagi

### Festiwal

z misterną nutą  
krok za krokiem  
wciąż odmierzam  
w szeregu imprez  
istnienia na co dzień

przybywa też taktów  
w zapisie metrum  
melodii losowej

utkanej w harmonii  
zdarzeń i przypadków

z batutą dyrygenta  
wyznaczam swoje miarki  
utkanych uczynków  
symfoniczną formą  
w kalendarium życia

...już tylko  
wygrać casting  
...zagrać rolę  
na świątecznej scenie

### **Pod grzbietem Pegaza**

O duszo artysty  
ściśnij serca  
obojętnych widzów!  
Ty wiesz – że oni chcą  
chleba nie ducha!  
Zamień więc tacę  
na strawę tajemną.

O duszo artysty  
ty śniesz z nutą rzewną  
za wszystkich  
co płakać już nie potrafią!  
Cierpisz swą niemoc  
działania wierszy  
na tych zgłodniałych  
kasy i sławy  
co ich ubiorą w splendor.

O duszo artysty  
nałóż odzienie –  
by siła słowa  
...nie skazała cię  
na potępienie!

## Z perspektywy psa

Kolejny dzień był nudny i bury jak poprzednie. Do ciasnej budy zaglądały nikle promienie słońca.

Gdyby wisiała firanka, widoczna przestrzeń byłaby dostojniejsza. Zabrało jednak tiulowej poświaty. Apatyczne rzucanie okiem przed siebie, dotykało równie apatycznych przechodniów. Szli bezwiednie, ale ich posuwiste ruchy podążały w wyznaczonym celu. Zgarbiony starością mężczyzna, chcąc dodać sobie wigoru, dumnie podniósł głowę do góry. Za krótkie nogawki odsłaniały śmieszłą chudość jego dolnych kończyn, które przypominały wprawione w ruch szczudła.

Ogarnięta wzrokiem przestrzeń w zasięgu okna na świat, miała ściśle określone wymiarami scenę.

Zapelniała ją coraz to nowi przechodnie. Przeważnie byli milczący. Nie odzywali się do siebie i nie pomrukiwali. Nie szukali też zaczepki! Szli przed siebie i szli, zdecydowanie, lecz bez wyrazu.

Poranne słońce zrezygnowało z walki z coraz to bardziej pochmurnym niebem. Szare obłoki nawarstwiały się w swoich poszarpanych kształtach, walcząc o swoje miejsce na firmamencie.

Lekki podmuch wiatru miarowo szeleścił w gąszczu listowia niemrawych drzew i krzewów, okalających przechodnią aleję wśród miejskich zabudowań.

Znużony wzrok na krótko przysłoniła uśpiona nuda powieka. Z błogiej drzemki wyrwał ją histeryczny płacz biegnącej kobiety. Zwolniła kroku, rozmawiając ze sobą, chociaż obok nie było

nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na jej retorycznie powtarzane pytanie: – Dlaczego?

Zawisła w przestrzeni nieodgadniona odpowiedź. Kobieta biegła przed siebie, co chwila zatrzymując się, by wykrzyknąć po raz kolejny nurtujące ją, nieustannie powtarzane pytanie.

Coraz ciszej pobrzmiwały słowa, których nikt nie słuchał. Zagłuszył je odgłos wrzasku, wymykającego się zza otwartego okna z pobliskiego blokowiska.

Burek miał swój azyl. Nie przeszkadzał mu nawet łańcuch. Nikt – nie mógł mu tego zabrać!

## Walentyna Karwowska

### Gdzie są?

Otwarte zapraszają  
Do domu gościnnego

Ciężkie zamykają  
Na długo

Te co miażdżą  
Zadają gwałt

Te ciężko ozdobne  
Skrzypią matowo

Lub narysowane tylko  
Oraz lustrzane

W nich widzisz twarz

Szukasz, błędzisz

Nie wiesz

I ja nie wiem

Gdzie są drzwi do ciebie?

### Krewna czasu

Natura zbudowała  
Z materiałów mało znanych  
Ukryła w kostnej szkatułce

Skarb dla ciebie  
Zmysłami odbierana  
Za kotarą niepamięci  
Pamięć

O tym o czym nie chcesz  
Pamiętać

I o czym nie wolno  
Zapomnieć

## Twój kłopot

Był w nich świat  
Znowu patrzysz sobie w oczy  
O! Skurczył się  
Specjalnie dla ciebie

Z każdym dniem  
Chcesz go więcej

On zamyka drzwi  
Otwiera inne  
Coraz szerzej

Nie chcesz wejść

*Że nie teraz  
Że masz coś do zrobienia  
Że na kogoś czekasz*

Wiesz, że *musisz*

Drzwi szerzej otwarte  
A ty nie wiesz  
Dokąd?

Masz kłopot

Nie protestujesz  
Po co?!

Nie, nie  
Nikt nie jest gotów  
To zawsze nie w porę

Jeszcze raz spójrz w lustro  
Pa, pa

## Nieruchome schody

Trybuna życia  
Bez numerowanych miejsc  
Bez rezerwacji

Na nieruchomych schodach  
Z czerwonego granitu  
Przysiadł ptak  
Dziobnął w nieruchomy schodek  
Wydawało się, że *beżmyslnie*  
A było to udane polowanie  
Na deser chwiała się jeszcze  
Jedyne źdźbło trawy

Poniżej  
Miejsca zajęła gromadka przyjaciół  
Nie oglądali panoramy miasta  
*Śpiewali i grali na gitarze*

Swoją kwaterę miały też mrówki  
Ileż to kroków musi zrobić mrówka  
*Żeby zmienić nieruchomy schodek*

Na jednym z nich grzał się kot

Na innym kobieta sprzedawała kwiaty

Dzieci biegały wte i wewte

Najwyżej siedział ktoś zamaskowany  
Przed nim stał kubek na wrzutki

Stała też para prawie nieruchomo  
Na nieruchomości schodów

Inni pędzili w górę lub w dół



Ktoś robił zdjęcia

Nakręciłam film:  
„Ruch na nieruchomych schodach”

## Przechowalnia

Zapakuję lato w kartonik  
Wleję morze do butelki  
Wiatr we włosach przechowam  
Suche liście wrzucę do szafy  
Otwierając będą szeleścić  
Bałwana schowam w lodziarni  
Będę go odwiedzać

Na końcu otworzę okna  
Wpuszczę wiosnę  
Nie będę się skarżyć na pogodę  
Lampą przedłużę dzień  
A noc niech trwa, aż się obudzę

## To taniec

Gładzisz moje ręce  
Gładzisz moje nogi  
Co dalej?

Taniec

Moje ręce i nogi są gładkie  
Dalej nie wspominając

Gładzisz mnie całą  
Marzę, *żeby trwało*  
I po przebudzeniu

Czy to rozważne?

## Barbara Kołacz

### Mozaikowe interferencje

Domek księdza Twardowskiego  
zdrewniała muszelka poety-slimaka  
przyczepiona do wiślanej skarpy  
w otulinie lip i jesionów

pod witrażowym oknem  
płonącym w łzach słonecznych  
złocą się słowa  
w karafce od pani Anny

mówce wydaje się że jest bożą krówką  
pnie się mozolnie do nieba  
po szklanej drabinie

pozamieniał mistrz Jan  
drewniane pacynki na ścianach  
w śpiące święte królowny  
których czas nie ma prawa ruszyć

po kręconych starych schodach  
wspina się poeta jak po Evereście  
ku śpiewającym obłokom

ogród cały w biedronkach,  
motylkach i innych cudakach  
rozdzwania się wieczorową porą

a ksiądz Jan z okna wychylony  
jak dyrygent unosi rękę  
uświęcając ostatni swój wiersz

czasem zajrzy majową godziną  
w stare kąty, odkurzy serwantkę  
poprawi portret matki w staromodnej ramie  
i jak utrudzony anioł  
odfrunie do świętego Piotra

dom, co przeżył dwa stulecia  
sprasza teraz w gości przelotne gołębie  
i przygarnia ciszę  
co ucieka  
przed wielkomięjskim gwarem  
zbyt ciężkim  
dla poezji fruwejcej w ogrodzie

## Marcepanowa dama

*Pani Danucie Szafarskiej poświęcam*

Mieć dwa lata do setki  
i śmiać się z tego,  
to wielka sztuka,  
nie tylko teatralna.  
W błyszczących oczach  
kryje się tajemnica życia,  
nie zawsze z lukrem sławy,  
częściej zuchwałości i odwagi.

W czasach ciemnej nocy  
góralka warszawianka  
z biało-czerwoną opaską  
i dzieckiem na ręku  
gwizdała na przelatujące kule.  
I kamień odłożyła,  
choć chleba znów zabrakło.

Wyparsknąć głód śmiechem,  
wykpić bosc nogi bez trzewików,  
ubóstwo lat studenckich  
i wciąż iść z życiem w zapasy.

W powojennych filmach  
serca ludziom otwierała  
zadziornością i uśmiechem,  
co leczył wszystkie rany.

Śmieć się, śmieć, Danuto  
na huśtawce ogrodowej

śmiechem zaraźliwym  
i tak zdrowym, jak tylko  
ożywczy może być plusk  
gadającego strumyka górskiego  
gdzieś pod Nowym Sączem.

„Nie ma lekko” – powtarzasz  
za księdzem Jerzym. – „Bo nie ma”.  
I z przekorą machasz  
nam ręką na pożegnanie.

A nam lekko na duszy  
jakby srebrny anioł sfrunął  
na ziemię skądś z daleka.  
Bo kto dzisiaj tak się uśmiecha  
do życia, do innych, do siebie  
i ozłaca świat czymś tak dobrym,  
co smakuje bardziej niż marcepan.

*Warszawa, 2013, wiersz inspirowany spotkaniem  
z Aktorką, po projekcji filmu dokumentu „Inny świat”.*

## **Jabłonki**

przy drodze stare jabłonki  
w wiejsko-miejskim sadzie  
zdziczały przez lata

krzywym ramieniem  
wołają o pomstę  
za swoją krzywdę  
jak odtracone kobiety  
bez soków

krostowate jabłka  
zapadają się w trawie ze wstydu  
czasem przelatująca wrona  
rozdrapie je na części  
i porzuci jak wspomnienie  
ulotnego lata  
i minionej młodości

## Beata Ewa Komarnicka

### Babcia

Stara babcia idzie w kapciach,  
Niesie koszyk wielki,  
A w koszyku tym ogromnym  
Grzechoczą butelki.

Kapcie suną przez ulicę,  
Zeszły już z chodnika,  
Kapcie stare, nogi stare,  
Depczą po trawnikach.

Pewnie chciałyby po łące  
Biegać, jak w młodości.  
Teraz człapią po betonie,  
Skrzypią stare kości.

Skrzypią kości, dzwonią butle,  
A kapcie szurają...  
Tak o piątej rano babcie  
Innym spać nie dają.

### Wiśnie

Wczesnym porankiem zrywałem wiśnie  
A niech ten wicher dziś dunder świśnie.

Drabinę chwiejną mam pod stopami,  
Miedzy wiśniami straszne tsunami.

Nie warte wiśnie tego zachodu,  
Nie trzeba było iść do ogrodu,

Kwaśne tak były i niedojrzale,  
Lecz na placuszek ochotę miałem.

Konar na głowę spadł mi ogromny,

Leżę pod drzewem ciut nieprzytomny,  
A żona stoi przy mnie zmartwiona,  
Nie wiem czy smutna czy przestraszona,  
„Śliwki za miesiąc będą dojrzałe,  
Czemu tych śliwek tyle narwalesz?”

### **Zbyt krótkie**

Zbyt krótkie rękawy słów  
Przyciasna czapka pojęć  
Pękające guziki wspomnień  
Za małe buty miejsc  
Niedopięty suwak zdarzeń

Wyrosłam ze swoich dawnych wierszy  
Teraz piszę mniej dopasowane

# Jolanta Kościelecka

## Przystankowie

Przystanki zbuntowane  
odleciały rozkłady  
Idą Chamowem  
przechodnie wściekli  
ludzie tandetni  
za nimi pies  
wygląda jak półpsa  
zwiedza śmietniki  
znalazł śpiącego anioła  
w czapce niewidce  
Anioł frunie nad mostem  
co się rozmostowił

Chamowo się  
wyChamowało  
rozChamowało

za mało  
za mało  
za mało

## Tarczyńska 11

Podwórkowe studnie  
gniazda balkonów  
wylęgły dzikich lokatorów

tutejsza Julia  
rzuca  
ciężkim słowem  
w tutejszego Romea

Sąsiadka  
królowa bezrobocia  
dźwiga torbę kartofli  
– kartofle je co dzień

trzecie piętro  
grubas w gaciach  
trzepie koldrę  
jak brudną chmurę

domofon milczy  
zamkniętą bramą  
przewiewa Miron  
– gdzie mój sernik z galaretką?

*Powyższe dwa wiersze zostały wygłoszone podczas dorocznej poświęconej Mironowi Białoszeńskiemu imprezy „Mironalia” na warszawskiej Ochocie przy ulicy Tarczyńskiej*

## **Gajcemu i Stroińskiemu**

Tak ciężko było czekać  
gdy czas przedzierał się  
z wielkim loskotem  
pochody chmur  
bez skutku  
czekały na postoje  
aż anioły  
o skrzydłach za długich  
nie mieściły się już na niebie.  
Nie starczało oddechu,  
by nakarmić ten dzień.  
A gdy dom do góry  
stopami się odwrócił  
– wybiegli wysoko  
soczewka oka  
świat cały zamknęła.  
Grom już uciął.  
Widzicie?  
nie rzucamy już cienia...



# Maria Kościuszko

## Kirkut

na tej polanie wśród drzew  
stały niegdyś kamienne macewy  
aż przyszli Hunowie

nie darowali nawet kamieniom

resztki rozbitych nagrobków  
zarosły trawą i kępami żarnowca  
na piaszczystych łysinkach rozpełzły się  
rozchodnik i macierzanka

bawiły się tu dzieci

po latach  
stara kobieta  
składa kamyki swoich myśli  
na zabitych macewach

chciałaby rozprosyć swąd  
spalonej jedwabińskiej stodoly  
i ze spokojem patrzeć  
w czyste niebo

## O moich wierszach

one przychodzą i odchodzą  
nocą na cienkich chybotliwych  
nózkach liter

w smudze światła trzepoczą słowa  
jak wypomadowane wąsy  
Salvadore Dali  
stroszą nic nie znaczące  
znaczenia

przywołuje mnie  
wychylona z mroku  
płonąca żyrafa

z mojej lewej ręki  
kieszonkowym zegarkiem ojca  
spływa czas

po prawej dłoni pełzną  
godziny  
uciekające z rozlanego cyferblatu

rozległe przestwór nienapisanych wierszy  
rozprzestrzenia się cisza

## Ostatni Żyd w miasteczku

stary człowiek z siwym rozwianym włosom  
przemykał ulicą  
jego puste spojrzenie  
nie zatrzymywało się na nikim  
nie zwracał uwagi na pokrzykiwania  
wyrastków zza płotu

ostatni Żyd w miasteczku

jak przeżył wojnę nie wiadomo  
żył samotnie w małym domku nad strugą  
druciarz lutował garnki  
solidnie szybko i tanio  
stać nas było na taką usługę

oglądał uważnie blaszane naczynia  
milcząc stawiał diagnozę  
cichym mruknięciem zamykał rozmowę

wracałam do domu  
niosąc w ręku garnek na ramieniu smutek  
starego samotnego człowieka

rany w sercu zalutować nie umiał

kiedy zniknął  
nikt dokładnie nie wiedział co się z nim stało  
mówiono że wyjechał

plynie teraz sennie  
przez obrazy Chagalla

2012

## Stary człowiek i stary pies

spacerują  
idą powoli  
czasem przystają  
pies siada i podnosi głowę  
patrzy na pana  
ich oczy się spotykają  
one mówią  
jak dobrze że  
mamy jeszcze siebie

\* \* \*

*Tadeuszowi*

patrzę w okno  
widzę twoją twarz za szybą  
gest ręki  
daję znak że  
zaraz wrócę  
a przecież  
ciebie nie ma  
puste mieszkanie  
w twoim pokoju tylko książki  
nie dotyka ich już twoja dłoń  
nigdy już nic nie podkreślisz  
nie podpiszesz

teraz tylko ja  
stoję i patrzę

tu byleś  
jeszcze przed chwilą  
dotykam grzbietów książek  
odkrywam cię na nowo

2016

\* \* \*

w ciemności nocy  
mży rozproszone światło latarni  
zza węgła domu wylania się  
stara siwa kobieta  
obok niej przebiera łapkami  
żywy skrawek czerni  
czasem wybiega do przodu  
na długość smyczy  
powiewa podniesionym ogonkiem  
jak chorągiewką  
od czasu do czasu przystaje ogląda się  
sprawdza czy pani nie zginęła  
– idę Muszko idę ale nie nadażam  
szepcze siwa pani  
i tak snują się  
dwie błędne rycerki  
połączone niewidzialną więzią  
smycz jest tylko na niby

2017

## Po latach

W słoneczny wrześniowy dzień, po latach, odwiedziła miejsce swego dzieciństwa. Wyjechała stąd dawno temu. W czasie, który minął, była tu z rzadka. Matka i ojciec odeszli tak dawno. Miała wtedy naście lat. Bardzo ich było jej brak. Teraz ona wreszcie mogła zrobić coś dla nich. Na cmentarzu, gdzie byli pochowani, wymieniła stary zniszczony nagrobek z kruszącego się lastrico na nowy. Marmurowy, ładny i trwały. Stała w zadumie. Czula lekki powiew wiatru od jeziora. Do odjazdu pozostało jej jeszcze tro-

chę czasu, postanowiła przejść się ścieżkami dzieciństwa, choć wszystko się tu zmieniło. Wspomnienia nadpływały falami.

\* \* \*

Wąska płytka struga zamykała uliczkę. Tu kończyło się miasteczko. Za mostkiem droga prowadziła do lasu i na pola. Biegła dalej w kierunku wsi. Mała dziewczynka sama nie zapuszczała się tak daleko. Teraz uczepiona ręki ojca dreptała posłusznie z małym koszykiem w ręku. Szli na grzyby.

Wzdłuż kamienistej drogi za strugą rozsiadły się rzędem drewniane stodoły. Obrastały gęsto krzewami kolczastych jeżyn. Za skrawkiem łąki usianej rumiankami zaczynał się las, zrazu przeredzony, dalej coraz gęstszy. Wśród wysokich sosen pachniało igliwem i grzybami. W prześwicie drzew, w dole, błyskało jezioro.

– Pójdziemy dalej, tu nie będziemy zbierać.

– Dlaczego, tato?

– Tu był kirkut.

– Był kirkut... Co to kirkut, tato?

– Cmentarz.

Dziewczynka rozejrzała się. Wiedziała, co to cmentarz. Chodziła z dorosłymi na groby. Stały tam krzyże drewniane, kamienne albo kute z żelaza ręką kowala. Tam, gdzie jej kazano, kładła ubierane polne kwiatki albo zapalała świeczkę.

– Ale tu nie ma grobów, tato.

– Są, tylko zniszczone. To cmentarz żydowski. Na naszej ulicy i w rynku mieszkali Żydzi, a tu byli chowani po śmierci.

– I teraz ich nie ma?

Ojciec schrypiętym głosem rzucił w przestrzeń niezrozumiałą odpowiedź.

\* \* \*

Z czasem mała dziewczynka poznała dokładnie historię tego miejsca. Składała ją jak puzzle z fragmentów zasłyszanych rozmów, okruchów wspomnień. Wiedziała już, skąd się wzięły kamienne schodki z wrytymi na nich dziwnymi znakami. Gdy schodziła po nich wraz z innymi dziećmi z niewielkiego wzniesienia, gdzie stał budynek, w którym było przedszkole, bolały ją stopy.

Po latach napisała o tym wiersz.

Wtedy, idąc z ojcem na grzyby przez miejsce zwane kirkutem, czuła niezrozumiały niepokój. Bawiła się tu niedawno z dziećmi w „chodzi lisek koło drogi” i „kółko graniaste”, a pani przedszkolanka siedziała na kamieniu. A przecież nie powinno się deptać po grobach, tak ją uczono. Czuła się winna.

Poszli dalej, gdzie zaczynał się gęsty las.

Nie nazbierała grzybów tego dnia, jakoś chowały się przed nią. Nie pomogły zabiegi i zachęty ojca – patrz tam, pod tą kępą mchu na pewno rośnie jakiś prawdziwek, zobacz... Koszyk ojca był pełen. Wracali do domu.

\* \* \*

Teraz jej miasteczko się rozrosło, przekroczyło strugę. Po stodołach nie ma śladu. Pojawiły się nowe domy, nowe ulice, nowi mieszkańcy. Nawet las musiał ustąpić. Nie jest to już jej miejsce. Miejsce kirkutu znikło, porośnięte drzewami, wtopiło się w leśny kompleks. Nierozpoznawalnie.

\* \* \*

Dziś stara kobieta w blokowisku dużego miasta patrzy przez okno na koślawy napis „żydzi do gazu” na murze sąsiedniego domu obok innych kolorowych bazgrołów. Czuje ten sam, jak kiedyś, niejasny lęk. Przecież świat powinien być inny.

2004

## Joanna Kożan-Łazor

\* \* \*

Nie przestawię literek  
mojego życia.  
Biegną linijkami zmarszczek.  
Alfabet tak podobny  
do wielu innych.  
Czytelników coraz mniej.  
Samotny wolumin  
na zakurzonej półce.  
Ostatnie kartki  
blado dygocą na wietrze.  
Semafor ukośnie wyciągnięty  
ku niebu.  
Wagoniki znaków  
przesuwają się koleinami czasu  
do ostatniego przystanku.

### Znikający punkt

Dziś czuję się  
rysunkiem,  
ręką kapryśną skreślona  
na białej przestrzeni  
porzuconej kartki.  
Można mnie zmazać  
gumką myszką.  
Złapię ją za drżący ogonek  
i rozsypię się  
w ziarenkach ciszy.

### Śmieciuch

Ktoś zjadł  
moje słodkie wnętrze.  
Już nie pamiętam –

miętowe, orzechowe czy malinowe?  
Leżę jak porzucony  
śmieć.  
Ręka  
sięgająca po słodki  
karmelek  
uznała mnie  
niepotrzebnym.  
Tylko deszcz i słońce  
litościwie spoglądają  
na linie znikającego życia.  
Jak trafić do papierowego nieba?

### **Miraż**

Pulsujący blade kształt  
Przez zamknięte okno wpadł.  
I od ściany aż do ściany  
Dźwiękiem toczył się pijanym.  
Smugę światła sypnął w dłonie,  
Gwiazd natoczył ponad skronie,  
W oczy pruszy srebrem drząc.  
Porozbiegał się po kątach w cieniu mżąc.  
Znowu cisza, mrok skrzydlaty  
Zalomotał w ciemne szkło.  
Tylko czai się na dnie  
Blada oćma w szklanej mgle.  
Tylko źrenic blask odbity,  
Tylko skaza w poprzek szkła,  
Tylko cisza z dźwiękiem w parze  
Co za tobą iskrząc szła...

### **Pastorałka prowincjonalna**

Drzewa w niebo wstąpiły,  
las rudział i zieleniał.  
Srebrzystą mgielką prószył  
anioł, który oniemiał.  
W krzewach bezlistnych, nagich  
mchem szopa otulona:



Boże dziecię uśpione  
i pochylona Ona.  
Wpatrzona w cud narodzin,  
aktem Bożym strwożona,  
wstrzymuje oddech swój ludzki,  
Boga biorąc w ramiona.  
    Józef dłonią zakrywa  
    oczy przed cudu blaskiem.  
    Ptaki świt ogłaszają  
    radosnym dźwięcznym wrzaskiem.  
Mrok stał się światła źródłem,  
a ranek smutkiem nocy,  
bo rozkaz krwawej rzezi  
śledzą tetrarchy oczy.  
    Dłonie pełne miłości  
    i oczy pełne blasku,  
    dławiący tętent serca  
    w bezdrożach ziaren piasku.  
Lękliwy trucht osiolka  
wygnańcom towarzyszy.  
A cały cud stworzenia  
grozą milczącą dyszy.  
    W pustynnym bezpustkowiu  
    królestwo się zaczyna  
    Jezusa Zbawiciela,  
    Bożego i Jej Syna.

## Wieczera

Ostatnie spojrzenie na kuchnię. A potem na stół i to trzecie nakrycie. Oczekiwanie. „Melody Gardot” snuje się po ścianach pokoju. Wznosi się pod sufit. Łagodnie splywa po meblach.

Korytarz ożywa obecnością.

– Jestem! – powrót z pracy dość wczesny, ale już z niepierwszą gwiazdką. Jazz dogasa, przytłumiony wokół wędruje między gałązkami choinki. Rozbłyska światełkami.

– Będę cię teraz jeść! – jeszcze chłodną dłonią zsuwa Łupinkę mojego sweterka.

– Potrzebny ci widelec i nóż? – pytam.

– Obejdzie się... – wysapał przyłgnąwszy do mojego ramienia. Jedzenie jest miękkie i ciepłe.

– To mile.

– Jeszcze cię nie ugryzłem... – czuję szczypiącą laskotliwość.

– Chcę pić! Jesteś za gęsta... Wołę szklanke gorącej herbaty z cytrynką. Bądź mi herbatką... – kaprysi. – Jesteś taka ciepła... Zaraz się ciebie napiję.

– szeroko otwiera ramiona.

Uchyłam się od bezwładu zmęczonej materii. Trudno, zaczniemy od herbatki... Brzęk szkła, syk parującej wody. Ostrożnie niosę płyn złocisty z bielejącym obłoczkiem pary.

Zasnął. Ciężarem ciała zsunął się na oparcie fotela. Gardot nuci nostalgicznie. Ciemność nocy śmieje się w oknach. Światelka tysięcy choinek wyznaczają lot niebieski. Narodzenie Pana się dzieje.

## **Dawno, dawno temu, prawie dziś...**

W miasteczku Klajsterkowo, w sąsiedztwie niedalekim mieszkało dwoje samotnych nieznajomych. Był to Pan Klej i Pani Klej.

Pewnego wiosennego ranka wybrali się równocześnie na przechadzkę.

– Och, ten młodzieniec ma niebieskie oczy jak niebo... – szepnęła do siebie Pani.

– Jaki słoneczny płaszczyk! – westchnął Pan Klej.

I oboje uśmiechnęli się do siebie. I odtąd zostali znajomymi.

Aż nastał dzień, gdy Panu Klejowi dokuczyła szczególnie samotność. Wsunął niebieski kapelusik, do jasnej kamizelki przypiął czerwony kwiatek i ruszył do Białej Czapeczki, jak nazwał Panią Klej.

Pani Klej otworzyła natychmiast, jakby czekała na wizytę Niebieskiego Kapelusika.

– Och, jak pan dziś romantycznie wygląda. – przywitała w drzwiach.

– Taaak... – zmieszał się gość i szybko dodał. – A pani tak słodko pachnie!

Po czym spojrzał głęboko w jej czarne oczka liter i dotknął gładkiej rączki.

– Czy... czy zechciałaby pani przykleić się do mnie na zawsze?

I tak nieznajomość zamieniła się w znajomość, a samotność w miłość od pierwszego wejrzenia, a do tego spełnioną!

# Małgorzata Krupińska-Nowicka

## Corrida de toros

na scenę wkracza byk  
udręczone zawczasu zwierzę  
boleśnie dźgnięte  
przed wpuszczeniem na arenę

oszołomiony światłem  
szarżuje na oślepię przed siebie  
trybuny żądne krwi czekają  
publiczność wrzeszczy

byki głosu nie mają  
przeznaczone na śmierć  
muszą przejść  
przez obowiązkowy rytuał

cyrkowo ubrani władcy cierpienia  
drażnią półtonowe zwierzę  
jeden byk trzy akty

godny rzymskich igrzysk  
atawizm gawiedzi został zaspokojony  
wszak zapłacili za bilet

## Dyptyk na obiektyw i trzy różne serca

*Pamięci Krzysztofa Millera*

I

inni oglądali zaledwie niewielką część  
ty widywałeś na co dzień w akcji

zapamiętałeś szczególnie staruszkę z chlebem  
kroczyła godnie mimo odgłosów strzałów

przypominała babcię której od lat nie było

zateksniłeś za bezpiecznymi ramionami

bezsensowna śmierć miała kominiarkę na twarzy  
pogardliwe spojrzenie oprawcy z pistoletem

zabójca nie chwycił drogiego chleba  
wysuniętego z ciepłej jeszcze dłoni kobiety

ostatniej wolnej osoby w tym mieście

## II

tragedia jest fotogeniczna  
podziwiano twoją skuteczność  
nagradzano

nie zubożyłaś

obiektyw rejestrował okrucieństwo wojen  
opuchnięte brzuszki maluchów  
chłopców z karabinami zamiast książek  
dzieci oplakujące matkę

wstrząsające fotografie  
nie potrafiły jej zatrzymać

bezsilność cięższa niż kamień

*13 wojen i jedna*

*13 wojen i jedna*

Jedna

## Kołysanka dla syna

*Pamięci Grzegorza Przemyska*

*Patataj, patataj  
Pojedziemy w cudny kraj!*

utulę cię syneczku  
na tę ostatnią drogę

plecak wraz z wierszami włożę  
rozpozna cię po nim poeta  
śpij

*Tam, gdzie Wisła modra płynie,  
szumią zboża na równinie*

pojedziemy nad brzeg  
gdzie pachną sitowia  
zła nie będzie  
nie znajdzie cię żaden krzywdziciel  
śnij

*Pojedziemy, patataj...  
A jak zowie się ten kraj?*

a nie utrudź się zανάdo syneczku  
weź te buty  
co w górę iść muszą  
skóra nań dobra i mocna  
już czas

## **Biling**

mężczyźni są bezwzględni  
zostawiają swoje ziarno  
w ciałach kobiet

kobiety są zachłanne  
hodują plony  
tylko w sobie

ludzie są zarozumiali  
płodzą  
na obraz i podobieństwo

tylko dzieci niewinne  
nie mają wyboru

## Motyle

*dzisiaj dobry dzień zarobimy*

pod kotłami ogień  
opary wokół  
szczęściarze gotują swe skarby

duże czekoladowe oczy  
uśmiechają się do kamery  
drobne dłonie nie przestają pracować  
umiejętnie oddzielają części  
niedawno sprawnych gadżetów

ma dziesięć lat kolorową sukienkę  
marzy by zostać nauczycielką

dzisiaj nie poszła do szkoły

*dlaczego pani płacze*

\* \* \*

nie śmierci się boję  
lecz umierania  
w długie zimowe miesiące

samotności łóżka  
oczekującego na ostatni oddech  
słów uwiecznych w gardle

pożegnania

## Anna Kulesz

### Ciemne zakamarki duszy

Mroki mojej duszy wypełnione słodyczą  
gdzie diabły w zakamarkach ciemnych  
z lubością i zapalem wszystkie grzechy liczą  
wynikle z naszych słabości przyziemnych

Teraz patrzymy jeszcze w swe dusze zabawowo  
z uczuciem beztroski a nawet uciechy  
bo w tym życiu ziemskim wszystkim jest wiadomo  
że radość największą dają popełniane grzechy

*styczeń 2017*

### Konwaliowa drabina

zgrałam liście  
po zimie  
i spakowałam w worki  
razem z myślami  
które zabrały mi spokój

w tym miejscu  
wschodzą już konwalie  
symbol odnowy  
który drzwi przeszłości zamyka

będę się wspinać  
po drabinie kwiatów  
i sięgać po radość  
zawieszoną jak szczęście  
w owocach granatu

*marzec 2017*

## Spotkanie w Domu Opieki

pamięć przeplata się z niepamięcią  
dotyk dłoni zastępuje słowa  
które odlatują trzepotem  
zagmatwanych myśli

uśmiech wygładza zmarszczki  
osusza kropelk smutku  
zawieszono na skraju powiek  
oczu wyczekujących spotkań

z trudem przychodzi rozmowa  
słowa pouciekały  
jak piasek z dziurawego worka

zszywane wyobraźnią  
strzępki wspomnień  
tworzą nową sztukę  
zaklętą w jednym słowie

*2017*

## Za późno

Nie spostrzegłam nawet  
kiedy przyszło to

za późno

odkładałam na jutro  
na po obiedzie  
odkładałam jak będzie więcej czasu  
jak skończę swoją robotę

i byłam zaskoczona  
kiedy okazało się że jest

za późno

Stałam jak wrośnięta  
w zimną posadzkę korytarza



niech się pani odsunie

nie mogłam się ruszyć  
patrzyłam na wychudzone dłonie  
leżące wzdłuż ciała na noszach  
pod cienką skórą widać było  
granatowe żyły  
jakby mapa całego życia

tyle dawały mi kiedyś ciepła  
zawsze chroniły  
a teraz było już

za późno

chciałam podbiec  
zatrzymać je i całować  
podziękować za wszystko

ale stałam odrętwiała  
z pobladłą twarzą i łzami  
które zdławione boleśnie  
rozrywały moje wnętrze

no niech się pani odsunie

nie mogłam się poruszyć  
jak by to ze mnie życie uchodziło  
zimne czoło i dławienie w gardle  
którego nie mogłam  
z siebie wyrzucić

teraz na wszystko było już

za późno

*1 listopada 2016*

## **Kresowy pejzaż**

zatoniony w puchu obłoków  
krajobraz ziem wschodnich  
w którym kopuły cerkwi  
blyszczą jak złote dynie na niebie

blękitem mrugają okiennice  
do których tulą się dziewanny  
i nasłuchują kresowych pieśni  
rozchylonymi kielichami

przez wzgórza i doliny  
echem powraca melodia  
dawno śpiewanych pieśni  
zapisana nutami nadziei miłości i wiary

*sierpień 2017*

## **Wiosenne porządki**

zgrabiłam liście  
po zimie  
i spakowałam w worki  
razem z myślami  
które zabrały mi spokój

w tym miejscu  
wschodzą już konwalie  
symbol odnowy  
który drzwi przeszłości zamyka

będę się wspinać  
po drabinie kwiatów  
i sięgać po radość  
zawieszoną w przyszłości  
jak szczęście w owocach granatu

*marzec 2017*

# Agnieszka Laudowicz

## Sekretarka

Czy możesz opuścić pokój?  
chcę zostać sama z maszyną  
chwila intymności , to nikogo nie zabije  
Mam tyle rzeczy do powiedzenia  
tajemnic, którymi muszę się podzielić

Tylko ona tego wysłucha  
bez oceniania  
Tylko na nią można liczyć po ciężkim dniu

Czy możesz opuścić pokój ?  
Jestem tylko kolejną sekretarką  
Dziewczyną, którą mijasz bez słowa  
Ale to nie oznacza, że o niczym nie wiem

## Wiosna

Zostawiłam to za sobą  
okropny katar i porcelanowy domek bez okien  
Jedyny płomień jaki miałam  
Ponieważ potrafię tylko ładnie się pożegnać

Nie odróżniam drzew i nie wiem co pyli  
Ale to jest w powietrzu  
sprawia że znów nucę  
chodźmy gdziekolwiek  
ponieważ wiosna znów uderzyła

Uciekłam jak zwykle  
ponieważ ta pora roku źle na mnie działa

## Anna Liber

### Chabrowa mgła

urodził mnie  
listopad  
otulona chabrową mgłą  
dojrzałam  
jesiennym owocem  
życia

genetyczne niebo  
klonuje listopady  
systematycznie  
powielając proces  
odradzania

...i tak co roku  
coś wymyka się  
spod kontroli

### Dwie pasje

na parterze starej kamienicy  
okna przysiadły w szeregu  
ciemnością smutne wierne  
północnej twarzy świata

na parapetach rabaty donic  
kwiatokaktusy kaktusoszable  
rozpanoszone hojną ręką ojca  
tajemniczy zielony smok

w szczelinę roślinnych ramion  
wtulona twarz dziewczynki  
o brązowych oczach  
nieruchomo utkwionych w szybie  
jakby chciała zapełnić czas  
pasją postrzegania  
odmiennego świata

## Niewinne pytania

do szkoły taszczy siniaki  
w plecaku  
drugie śniadanie mistrzów  
kulturystryki  
ona i on – w konkubinacie  
w bramie strachy z butelki  
zanoszą się płaczem

przed wagą sądu  
dwa oblicza prawdy  
niewinne pytania  
już nie są niewinne  
dziecięcy dramat  
tragicznym odkryciem

kocham cię mamo  
nad ...życie

## Jak wolność

Uwolniłam z łańcuchów wiersze.

Psy słów rozbiegły się.  
Rozszczekane...

Czy to wolność?  
Można pobawić się w berka.

Puste wyrazy zatoczyły się  
Bezładne wiatrem  
Jak papierowe  
Torby bez prezentów  
Z nieobecną nadzieją  
w środku...

Zagwizdałam.  
Wierne treści  
Przybiegły radośnie  
do mych nóg...

Rasowy porządek.

Drzewa wierszy  
Jak wolność  
Rosną powoli

### **Osiodłać wiatr**

bezmiarem spraw  
osiodłam wiatr  
absurdu bicz ukręcę

galopem szans  
w porywach chwil  
utrzymam tempa lejce

w pogoni chmur  
rytm serca drży –  
rży monotonią tętna

osiodłam wiatr  
dogonię świt  
odkryję nową formę  
piękna

### **Wieloznaczność strachu**

w ciemności tunelu  
wieloznaczność strachu  
wielka niewiadoma  
za zakrętem myśli

dobiegam do strefy  
smaku i zapachu  
gorzkiej czekolady  
i cierpkości wiśni

## Apetyt łupieżca

na krawędzi czasu  
apetyt łupieżca  
niepewnie  
uchylił rąbka skórki

jednym szybkim gestem  
otworzył połówki  
jabłka

owocowe  
ziarniste serce  
zabiło rewolucyjnie

na ten sygnał  
ostatnim tchnieniem woli  
ogryzek  
plunął mu w twarz  
pestkami  
zdradliwych chwil

chwil  
na ostatniej krawędzi  
czasu

## Płaszcz na koncercie

płaszcz  
    bez nadziei zawisł  
        na oparciu  
ciało uwolniło bezwład  
        materiału

zapachniało muzyką

najpierw mankiet  
    machnął nieśmiało  
potem śmieiej  
    lokiec przetarty

roztańczył się park  
marzeniem zagrało  
piękno w pięknie  
życie w życiu

podniósł się kołnierz  
wyjrzały kieszenie  
otuchy ciekawość  
warto

## **Biały Królik**

latami toczę  
drabiniasty wóz marzeń  
ulatują ku spełnieniu  
jak młode ptaki  
z ciepłego gniazda

na gościńcu  
pięknieje rzeczywistość  
nawet Biały Królik  
o sierści pachnącej  
wolnością  
masz wesołe oczy mówi  
i przytula się  
do mnie

Po co liczyć ptaki?

## **Kula**

kula  
nabrała wody w usta  
i wcisnęła się w plot

boso mogła jedynie  
nabawić się grypy

na nic  
rozpamiętywanie



dżdżystych  
nocnych mobilizacji

sztachety po-  
lamaly sobie głowy  
by natrzęsać się  
z bezbronnej

one zawsze stoją  
na stanowisku

a kula  
pospiesznie  
przypadkiem  
pomyłkowo

jak zwykle  
mija się z prawdą

## **Gorsze dziecko**

gorsze dziecko  
banita psychiczny  
niewolniczo w cieniu ideału  
kocim gestem chwyta  
okrucz sprawiedliwości

lewa strona matki  
nie ma serca  
trudno być nawet  
obecność irytuje

choć pięć kroków za  
gorsze dziecko  
tak pięknie potrafi kochać

# Blanka Lipińska

## Wiersz głęboki

Utonęłam

## Anons

okno na świat sprzedam  
antywłamaniowe kuloodporne  
cena do negocjacji

## Gatunki zagrożone

*Z braku szamania  
Znikają piątki i dwójki  
Palmyra z braku Fortuny  
Ślady stóp na plaży  
z braku stóp  
stoń  
z dnia na dzień z ze znika e*

– zapisała Pola w jednym z kilku tysięcy plików na ekranie komputera. Znikanie było dotkliwym lejtymotywem w jej życiu. Pierwszy, kiedy miała trzy lata, zniknął ojciec, następnie przepadła w dobrobycie, na emigracji chrzestna matka, przyjaciel Adaś skończył jedenaście lat i ulotnił się jako trzeci. Po Adasiu, kolejno, w krótkich odstępach czasu zabierali się z tego świata jego rodzice; tata, trafiony udarem, mama, tak spektakularnie, że piły o tym gazety, w pożarze rozpalonym płomieniem ozdobnej świeczki, w Wigilię, w ramionach kochanka, w których szukała ciepła.

Babcia, uwielbiana przez Polę, wycelowała swoim zniknięciem prosto w egzaminy do liceum, matka w karnawał, w międzyczasie dziadek odszedł ale powrócił ojciec, cały w nerwach że będzie musiał płacić alimenty do końca jej studiów. Następnie zniknął na amen. W dniu trzydziestych urodzin Pola siłą się na odrobinę luzu stwierdziła – Wszyscy bliscy zapadli się pod ziemię.

W tym osobliwym terminarzu spotkań i rozstań nie mogło zabraknąć bezpotomnego wujostwa, z którym związana była wspomnieniami piknikowych wypraw trolejbusem, ulicą Puławską za miasto, rytualnych zakupów

na Polnej i Koszykach, gdy w bezwyjazdowe wakacje pomieszkiwała u nich, przy ulicy Lwowskiej 5.

W sprawie jarzyn, owoców, jaj, wiejskiego twarogu, bazar przy ulicy Polnej był niezawodny. Umościł się w połowie zeszłego wieku, pod chmurami i skromnym zadaszaniem, malowniczo w krajobrazie dzielnicy, na tle wiekowych kamienic, między ulicą Waryńskiego a Placem Politechniki. Kapuściane głowy układane w piramidę, w rzędy pomidory, w góry ziemniaki, rozsypana jak bierki żółta i zielona fasola szparagowa, naciowe i koprowe bukiety obok tych z cynii i georginii, mietczyki wycelowane w słońce, splecione warkoczce czosnku z girlandami ostrych papryczek, otoczone egzotycznymi specjalami dla pracowników ambasad o zasobnych portfelach, cały ten kram, był urozmaiceniem wakacji w mieście, na które Polę sporadycznie skazywano. Sprawunki z Polnej trafiały na stół w jadalni w postaci salatek, surówek, pierwszych, drugich dań i deserów. Nikt później nie ugotował dla Poli tak esencjonalnej zupy jagodowej jak ta, którą ciotka przyrządzała z jagód z Polnej, albo żurku na prawdziwym zakwasie kupowanym zawsze u tej samej, zaprzyjaźnionej baby ze wsi. Pola lubiła baby ze wsi na Polnej, wiejskie baby lubiły Polę. Ale pewnego dnia one też zniknęły i żurek, i te jagody, ktoś wyrwał z korzeniami stragany, marchewki, pietruszki, buraki i zasadził betonowy budynek z plastikowymi oknami i neonem, który wmawiał wszystkim, że to ten sam plac targowy. Piętrowy pawilon nie przyjął się, zmarniał szybko.

Pola, pogrążona w rozpamiętywaniu, które zawsze źle znosiła, bo rozklejało dobry nastrój i trzeba było kilograma chałwy, żeby posklejać go na nowo, a któremu ulegała gdy nie miała innych zajęć, rozsiadła się na wielkiej poduszce, wyszukała w komputerze tytuł „Poszukiwany, poszukiwana” i przewinęła film do ujęcia, w którym widać Polną z czasów, zanim zniknęli wszyscy.

# Renata Lipińska-Kondratowicz

## Target

Target nieatrakcyjny  
Dla mężczyzn i banków.  
Nie robi na drutach.  
Wielniane skarpety  
Wyszły z mody.  
Wnuków nie niańczy.  
Powyrastały.  
Świata nie zwiedza,  
Bo debet na koncie.  
Nie pieni grządek,  
Bo także ich nie ma.  
W sklepie na półce  
Krem 70+ niczym  
Diabeł Faustowi  
Obiecuję młodość.  
Może go kupić – myśli.  
Tylko po co?

## Sirocco

W cichej uliczce poezji  
Zaczął wiać wiatr.  
Wrywa mi słowa,  
Złote myśli wywiewa donikąd.  
Pył miałkich obietnic  
Utrudnia ostrość widzenia.  
Słysząc wrzaski,  
A nawet przekleństwa.  
Strzępy demokracji  
Opadają na mój stół.  
Stare kobiety z krzyżami w rękach  
Przelatują nad miastem.  
Na placu młode kobiety  
Wymachują wieszakami.  
Rynsztokiem płynie fala hejtu.  
Wirusy nienawiści

Mnożą się w powietrzu.  
Na rogach ulic łopoczą sztandary...  
Naród nie chce ciepłej wody,  
Chce kąpać się w jacuzzi...  
Boli mnie głowa.  
Idą wybory...

## **Nocny interwał**

Budzę się w środku nocy.  
Chce mi się pić.  
Wstaję, piję.  
Kładę się i wtedy  
Poduszka kluje kolcami,  
Miękką koldra  
Zamienia się w sztywną tekturę,  
Miękką sierść kota  
w oślizgły jedwab  
A jego mruczenie  
Przypomina warkot silnika.  
– Cicho! – mówię.  
Zaciskam powieki.  
Czekam na świt,  
Ale ciemna kartka nocy  
Nie chce przewrócić się  
Na jasną stronę.  
Czekam...

## Katarzyna Alicja Liszewska

### Bez tytułu

patrzę na moje dłonie,  
dłonie mojej Mamy  
i budzi się we mnie mgliste, egoistyczne pragnienie,  
by przekazać gen kształtu moich dłoni dalej,  
by nie szczęły bezpowrotnie w ziemi...

### Serce mewy śmieszki

Serce Kobiety jest tak Pełne Miłości, że pochłania wszystko i wszystko oczyszcza łagodzącym balsamem, mieści w sobie więcej kwantów Miłości niż liczba plemników w małżeńskich i pozamałżeńskich wytryskach. Jest piękniejsze niż słowo „stosunek” i mocniejsze niż śmierć. Działa jak balsam i catharsis na przemiany, mieści w sobie psychikę bitego psa, który godzi się na romans z żonatym i jednocześnie znosi ten romans, rozumie i wybacza mężowi. To jedno i to samo serce, które przegania stado wron, kawek i gawronów – powoli wykańczających, ranną w szyję, mewę śmieszkę w parku, które ją łapie z trudem i po aktach cierpliwości, zwątpienia i nadziei zawozi w bezpieczny azyl. Mimo że nie daje się śmieszki uratować, bo nie dość, że stary uraz, wrony, to jeszcze mrozy i smog, ale chociaż umiera w spokoju, nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, antybiotykami, nakarmiona i napojona. Serce mewy, która w niemych krzyku łapie mnie czerwonym dziobem za palce rękawiczki i patrzy swym węgielkowym okiem w moje większe, człowiecze. Człowiecze serce i serce mewy. Przytulona do mojego serca, serca kobiety, przez parę chwil w autobusie, a potem oddana w ręce dobrych ludzi. Serce kobiety poprzekłuwane, posiniaczone, pomarszczone, wychłostane tyle razy, ile może padać słów ostrych i lodowatych z ust mężczyzn i kobiet o zamrożonych sercach. Serce kobiety, serce dziewczynki i serce mewy. Zjednoczone przez chwilę w autobusie, jadącym do Ptasiego Azylu. Azylu Zbłąkanych Serc.

### Święconka w pudełku od nici

Drocę się, nie, klóć się? Nie, wyzywam wręcz, Pana Boga, jak największy grzesznik, klnę, blużgam, wydziwiam, wyrzucam ścierwo myśli i rzygowiny słów z siebie, opamiętuję się po czasie, skruszona, ale jest to skrusza

ze strachu raczej, czy aby przeciw Duchowi Świętemu to nie było? Bo to grzech ciężki i jak chce Pismo, nie do odkupienia. I nie za moje krzywdy, nie, za te ofiary bezbronne, za tą pokrętną Sprawiedliwość, na którą, być może, mój umysł za ciasny jest. Mój związek z ostatnim mężczyzną ocierał się o toksyczność, bo nawet nie mogę, jeślibym chciała, zerwać z nim, na śmierć i życie. I przychodzi mi do głowy, że mój związek z Panem Bogiem też jest toksyczny, miłość-nienawiść, ale ta toksyczność to chyba ode mnie? Wychodzi i zarzekając się ostatnimi dniami i zawsze niemal, że nie idę z żadną święconką i że „w dupie mam”, wiedziona ślepym instynktem niemal, wpojona przez matkę-babkę-prababkę, wessaną wraz z mlekiem tradycją, nie myślę za wiele, jak zazwyczaj, tylko w popłochu, bo za dziesięć siedemnaście i w większości kościołów kończą święcenie, szukam czegoś na kształt wiklinowego koszyczka i serwetki. Nie ma. Zostały wszystkie, jakiegokolwiek były, w starym mieszkaniu. Wyrzucam do miski po owocach, z tekturowego pudełka ze sznurkową rączką, nici, igły, guziki, centymetry i inne nożyczki i szykuję w tym pudełku na nici, moją święconkę. Jajka ugotowałam już rano. Okazało się, że drugi raz, bo mama dała mi już ugotowane, ale kto by to sprawdzał? Kawalek sernika, najlepszego na świecie, mojej mamy, pół kromki chleba i pojemniczek z solą. Himalajską, nie najtańszą, na moją tarczę. Może poświęcona bardziej pomoże? I lecę do kościoła, wdrukowany podświadomie program pokoleń, kieruje moimi krokami i w skupieniu słucham słów kleryka, posłusznie robiąc znak krzyża, zaraz po święceniu, nie myśląc za dużo, nie pytając już o nic, nie wzbudzając rwących fal i nie niepokojąc nikogo, dopasowuję się do rytmu ogólnościętnych wysokich wibracji pokoju i miłości i w tymże nastroju składam potem życzenia między innymi tym, do których żywiłam urazę, bo jakimś cudem zapominam dzisiaj o urazach, ja, która bywam pamiętliwa...

## Krystyna Łagowska

### Ujarzmić czas

Uchwycić czas  
Myśli są zazdrosne  
strzegą swoich tajemnic  
by nie wykradły ich słowa  
powikłane  
niezrozumiałe  
bez treści.

### Parawan lotosu

Parawanem malowanym  
w kwiaty lotosu  
odgradzam od hałaśliwej muzyki  
Kontempluje rzeczywistość  
wędruję po wnętrzu  
własnego umysłu  
prowadzę dyskusje  
z herosami dawnych mitów  
spaceruję po krawędzi  
dawno uśpionych wulkanów  
odpoczywam sama ze sobą.

### Jaki kolor?

– Jaki kolor ma słoneczko?  
Powiedz mamie proszę  
– Kolor ciepła,  
kiedy się do mnie uśmiechasz, córeczko.  
– A deszcz jesienny?  
– Ma kolor zimna,  
opadłych liści.  
– A sen, jaki ma kolor sen?  
– Sen ma kolor zielonych nadziei.



– Chyba masz rację, mamusiu,  
bo gdy śpię,  
widzę kolorowe kwiaty jak motyle,  
zielone dywany łąk.  
A jaki kolor mają gwiazdy na niebie?  
– Kolor złocisty  
jak roztrzepane włosy  
iskierek z kominka zimową porą.  
– A jaki kolor ma miłość?  
– Przytul się do mnie.  
To najpiękniejszy kolor,  
którego nikt nie może zobaczyć,  
bo jest ukryty w głębi serca.  
– Pójdę się pobawić,  
skoro twoja miłość czuwa nade mną,  
Jest ciepłem słońca,  
uśmiechem,  
zapachem dzwoneczków konwalii.

## **Mrok**

Mrok zapala ogniki  
w oknach mieszkań,  
rozjaśniając ulice.  
Przenikanie blasku  
przez zasłony okien  
stwarza nastrój intymności.  
Zapóźniony przechodzień  
przyspiesza kroku.  
Azyl domu –  
to ciepło twoich dłoni,  
radość powitania, uśmiech.

## **Niewypowiedzianych słów**

Snuje się wstęga niewypowiedzianych słów,  
przędza na kołowrotku zagubionych dni.  
Moja babcia wplatała srebrną nitkę  
haftu w szare tkaniny

świergotem ptaków,  
kropelką rosy,  
uśmiechem kominka.

Chciałabym, jak ona, być ciepłem domowego pieca.

## Były raj

Jasność zalała cały widnokrąg  
nie widać granicy horyzontu  
nawet ślepców poraził blask  
nie ma dobroczynnego cienia  
uwypukliły się nasze wady i przywary  
zobaczyliśmy siebie  
bez osłony figowego listka  
byliśmy, jak w dniach stworzenia  
bezbronni wobec  
doskonałości raj  
zatrwożeni własną niewiedzą  
zaciekawieni poznawaniem grzechu  
pomrokiem z którym podejmiemy walkę.  
Włożyłam kapelusz słomkowy  
z dużym rondem,  
zacieniłam twarz.

## List do...

Na liściu klonu  
igielką sosny  
alfabetem Brajla  
Jesień pisze list;  
Maju druhu mój serdeczny  
ciepły, pogodny, uśmiechnięty kwiatami  
niedługo moja siostra bliźniaczka obejmie panowanie  
wdepcze w kałuże błota  
wyzłoczone przeze mnie liście  
zarzuci na słońce płachtę dżdżu,  
wichrami melancholii zapuka do naszych okien.  
Ja przez udaniem się na odpoczynek  
proszę Cię o jeden pogodny dzień,

niech ludzie powiedzą „ciepło jak w maju”.  
Będę śniła, że w wieńcu z jarzębin grona  
z bukietem astrów w ręku  
słyszac delikatny szelest opadłych liści  
malowanych kolorami pawich piór,  
po horyzont rozciągają się dywany liliowych wrzosów  
delikatna nić babiego lata  
rozsnuje się koło mnie,  
a dzieci z opadłych kasztanów  
ulożą pałace, powozy, konie.  
Pozdrawiam Cię

### **Białe niezapominajki**

Są niebieskie  
ale powinny być białe  
nieuchwytnością przemijania  
zasuszone w snach  
przechowywane w pamiętnikach lez  
białością wyblakłych kartek papieru.  
Nie potrafię ująć w słowa  
rozbieganych myśli białych niezapominajek,  
wiatr otworzył przymknięte okno  
roztąńczył kartki wierszy.

### **Internet nieba**

Błądę po Internecie nieba, szukam po omacku.  
Mijam gwiazdy, jak złote guziczki w źle zapiętej sukience,  
Bezmyślnie mgławice wychłapane pianką z Mlecznej Drogi.  
Zanurzam się w ciemność  
zachłanną zaborczą  
nieodgadnioną  
zakłamaną.  
Ważę na konstelacji Wagi swoje życie  
Odważnikami niewypowiedzianych słów,  
niedokonanych czynów.  
Widocznie dotykam nie tych klawiszy,  
bo nie znajduję odpowiedzi na pytania  
w blasku przemykającej komety.

## Hamak

Jestem w sieci utkanych nitek pajęczyny  
włókien liany, niepowtarzalnych wzorów piękna.  
Powiew wiatru strąca liście z drzew,  
rozwiewa strzępki snu obrazów nie do odtworzenia.  
Budzę się,  
odnajduję siebie na osi czasu.  
Zerwana kartka z kalendarza.

## Zarys słów

słyszę zarysy słów  
wypełnionych treścią milczenia  
co odleciały z kluczem dzikich gęsi  
jesteśmy oddzieleni błękitem  
łopotem żagli

# **Alina Makówka**

## ***Fraszki***

### **Niestety**

Fortuna zmienia obyczaje  
Osobowość pozostaje

### **Znaczenie autografu**

W życiu jak w malarstwie – znam przypadki liczne  
Ważny jest autograf, nie dzieło faktyczne

### **Nowobogactwo z rodowodem**

Większość nuworyszów, większość arystów  
Nie licząc już nawet byłych aktywistów  
Czują się jak gdyby od pokoleń mieli  
Fortunę po mieczu albo po kądzieli  
Toteż na bazarach często widać owych  
Gdzie szukają pilnie pamiątek rodowych

### **Współczesna dewiza**

Dziś najważniejszy jest byt  
Dla impregnowanych na honor i wstyd

### **Dobre zdanie**

Najważniejsze w obecnej dobie  
Mieć dobre zdanie o sobie

### **Galerie dawniej i dziś**

Dawniej do galerii, kiedy byłam mała  
Na wystawy z ojcem nierzadko chadzałam

Teraz te galerie wszystkie są do d...y  
Bo wszyscy chadzają, ale... na zakupy

### **Ambiwalencja współczesnej moralności**

Brak norm normą się stalo  
A wszystko przez żadne cialo

### **Brzydota i piękno**

Jeśli ktoś powie żeś brzydki – przemilcz tę zniewagę  
Bo brzydota nad pięknem miewa tę przewagę  
Że choć uciążliwa, chociaż stresom sprzyja  
W odróżnieniu od piękna, nigdy nie przemija

### **Do klientów solarium**

Te gębusie wszystkie gładkie  
Stanowią dla mnie zagadkę  
Czy gładź ciała „na brązowo”  
Równa się też z umysłową

### **Do klientów siłowni**

Mądry kto skrywa mięśnie  
Swego sumienia słucha  
Bo siła ciała jest niczym  
Wobec potęgi ducha

### **Na strongmana**

Mężczyzna i strongman, od stóp aż do głowy  
Mają się jak arab i koń pociągowy

## **Do rozpustnika**

Nie przesadzasz chłopcze aby  
Żeś jest taki pies na baby  
Przestrzegam cię i zasmucę,  
Psy od mężczyzn żyją krócej

## **Odporność mężczyzny**

Mężczyźnie wszystko można rzec do ucha  
I tak nie słucha

## **Krótki dystans**

Dzisiaj droga nazbyt bliska  
Do pałacu od klepiska

## **Co za czasy**

Wszystkie idiotyzmy i niedorzeczności  
Dziś tolerujemy w imię poprawności

## **Centuś**

Mój mąż gasi światło, co mnie bardzo złości  
Bo nie do kochania, tylko z oszczędności

## **Duchowa dieta**

Klienci na duchowej diecie  
Spędzają zwykle czas w markecie

## Proza

### Efemeryda

Dumnie kroczyła Krakowskim Przedmieściem. Do Europejskiego miała już tylko kilkadziesiąt metrów. Szła na to spotkanie podekscytowana, czuła, że będzie wyjątkowe. Specjalnie założyła tę czerwoną, obcisłą sukienkę, którą kupił jej u Harrodsa w czasie wspólnego, szalonego wypadu do Londynu. Kochała w nim wszystko. Imponował jej wiedzą, światowym obyciem i tymi nienagannymi manierami. Miała w głębi serca nadzieję, że go kiedyś odmatrymoni.

Czekał na nią przy stoliku z bukietem niezapominajek. Zdziwiła się. Zawsze dawał jej piękne bukiety z Gloriozy.

Zamówił już butelkę czerwonego Bordeaux, które uwielbiała sączyć wpatrując się w jego szpakowatą, nienaganną fryzurę.

Przeszedł od razu do meritum.

– Zrozum, nie możemy się dłużej spotykać. Wie już o nas żona. Kandyduję na prezydenta. To moja życiowa szansa. Gdyby moje zaplecze polityczne... Nie mówiąc już o poparciu kleru.

Zaczął się głośno śmiać, aż musiał ją uciszać, by nie zwrócić uwagi otoczenia.

Szepnęła:

– Nie ma sprawy. Na szczęście nie jesteś jedynym, przystojnym politykiem.

Wstała, zostawiając niebieski bukiet na stole. Śmiejąc się, szła wyprostowana do wyjścia.

Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Jak to? To ja dla niej nic nie znaczyłem?

Zdenerwowany wybiegł za nią, zobaczył tylko z daleka, jak wyciera oczy chusteczką.

– No – mruknął z satysfakcją – jadę do domu. Wstąpię tylko do Gloriozy.



## Anna Mikos

### O szczęściu

Wicher i słońce jechali ze mną  
przez nabrzmiewającą wiosnę.  
Zatrzymana wypadkiem droga  
skręciła w zdziwiony Nowy Świat.

Ulice, których nie znalazłam wcześniej  
zakrywał srebrny pejzaż smutku.  
Las, pył, zaułki wyboiste  
wiedzą, że czekasz o zimnym wschodzie.

Otwieram malachitowy klejnot serca.  
Nie straszą zimy ani burze.  
Pory roku czasem odlatują  
podobne i mgliste.

Szczęście – wystające z palta  
trochę przemarznięte  
oddycha światłem Zmartwychwstałego,  
życiem i zieloną piosenką.

I już nie pamiętam zbolalego ciała  
ani smutków wieczoru.  
Napelniona podążam drogą zachodu  
rozdając kawałek po kawalku –  
sobie.

### Przekorna miłość

Podarłam rysunek z motylami oczu.  
Usunęłam nasze krajobrazy i listy.

Poczułam się lekka i zwiewna.

A miłość przekornie zapuściła korzenie.  
Oddycha i śmieje się ze mnie.

Kos zaczął znów koncert w ogrodzie.  
Śpiewa o księżycowym ciastku  
Rozświetlając gwiazdę szczęścia  
I nie oczekuje niczego w zamian.  
Chce tylko żeby spadła.

## Zimowa tęsknota Róży

Tęsknię na białej planecie  
srebrnym oddechem szronu,  
szklistym lodem chmur,  
jedwabnym blaskiem błękitu,  
gołębiami...

Z chłodu wysnułam kiedyś bajkę.  
Ten książę mnie nie uratował,  
wiosną spadł z konia,  
leży przy innej.

Na krawędzi rzęsy łza,  
serce w zagłębieniu smutku  
płynie razem z Chopinem,  
gdy do Ciebie miły dojść nie mogę  
żadną muzyką, zimą i tęsknotą.

## Dorastanie

Nie dorosłam do drzew dzieciństwa, ani do nieba.  
Śmieszna i mizerna przekraczam dylematy i pomyłki.

Jestem dzieckiem dla rodziców i innych ważnych.  
Płacę nad rozsypanym zamkiem w kaplicach pocieszenia.

Czasem bywam mądrym skrzatem.  
Wymyślam radosne opowieści.  
Staram się codziennie i w nocy:  
Czytam księgi,  
Zapisuję,  
Dziwię się.

Oto pszczoła – robotnica.  
Żyje raptem pięćdziesiąt dni.  
Przy niej i dla niej dorastam jak podarunek.

## Kałuża

Leżę zbryzgana zimną wodą, umazana błotem, ale szczęśliwa.

Kałuże na warszawskiej Pradze i w Otwocku niewiele różnią się od siebie. Kiedyś w dzieciństwie po długiej chorobie wyszłam na dwór, aby poskakać z koleżankami. Skoki zakończyły się laniem od matki. Byłam przemoczona do suchej nitki, ponieważ wpadłam do kałuży, a ona przedtem tak długo mnie kurowała z anginy...

Teraz w Otwocku po deszczu ulice – jak mówią złośliwi – przypominają Wenecję. Po miłym wieczorze, który spędziłam z moją przyjaciółką Kasią, wracałam do domu rowerem. Jestem doświadczoną cyklistką, a jednak.

Z Kasią znamy się od 14 lat. Pani do sprzątaną z Ukrainy, która stała mi się bardzo bliska z powodu podobnych doświadczeń życiowych, czasem dobrych, czasem złych. Spotkałyśmy się w kawiarni. Za oknem padał deszcz i hulał wiatr. Nadszedł czas pożegnania. Kasia poszła w stronę swojego niedawno wynajętego mieszkania, ja wsiałam na rower. Miałam dalej. Jechałam ostrożnie, jednak rower zahaczył o kamień. Szarpnęło mną. Zwaliliłam się w kałużę.

Chlusnęło błotem prosto w oczy!

W tym momencie minął mnie rozpedzony samochód. Usłyszałam głos z ciemności.

– Nic się Pani nie stało? – ktoś chciał mi chyba pomóc.

– Na szczęście! – odparłam, zrywając się. Rower ustawiłam do pionu. Mogłam jechać dalej.

Pomyślałam tylko, że Kasia pewnie już śpi pod kolderką, a ja jeszcze w drodze, no i mama nie czeka na mnie jak wtedy w dzieciństwie. Lania nie dostanę. Już dostałam.

Bolał mnie trochę łokieć, ale co tam. Przeżyłam!

## Celina Mioduszevska

### Na własne życzenie

Niema mgła i głuchy szron  
nie są w stanie skryć podwórzy nieporządku  
pograżone w bezruchu osiedle  
milczącego przedpołudnia

A gdzieś z drugiej strony miasta  
pośpiech i jarmarczny gwar  
handel kapciowy

Spowalnia manewry mgły przydrożnej szlaban  
wilgoć przestrzeni w ciało się wsysa  
wyścig do sklepu w kropki  
kupna szal

Niema mgła i głuchy szron  
dynamiczna egzystencja na własne życzenie  
humanizmu niemoc

*10.12.2014*

### Dom niegościnnie

Nikt tu nie zaprasza  
kawą nie częstuje

Marmurowe kanapy  
na nich przysiąść nie przystoi

W kobiercu przestrzeni drzewo nieme  
widziało powodzie łez

Domownicy ukojeni melodią liści  
śpią snem kamiennym

...

Próg jego przekroczysz  
pledem cię otulą  
nawet nie wiesz kiedy

*16.04.2015*

## **Kir...**

Głazy mchem porosłe  
Kaligrafia  
jakiej szkoła mnie nie nauczyła  
I trawa, trawa, trawa  
Tyle po nich zostało

*16.04.2015*

## **Maj**

Rozkoszne promienie maja  
złocą symetryczne rabaty ulicy

Przez lustra weneckich okien  
uśmiechają się pantofelki i pelargonie

Entuzjazm nastoletnich kroków  
dotyka betonu chodnika

Bury kot zalotnie puszcza oko  
a pod sukienką motylki tańczą walca

*maj 2016*



wspólnych myśli i zasad  
porządkuje wszystko magnetyczne pole  
dobrych lub złych uczynków

układających się we współśrodkowe  
okręgi wspólnych pól  
energii działania.

## **Agnieszka**

Miłośniku piosenek  
spotkasz autorkę Okularników  
i Malgoški w maju  
gdy będzie pachniała Saska Kępa  
a ty usiądziesz wygodnie przy stoliku  
w cieniu kasztanów  
w promieniach słońca  
rozkoszując się dźwiękami muzyki  
i rozmawiaj O pięknych dwudziestoletnich  
szalonych latach miłości i barwnych  
planach na przyszłość  
takie jest życie.  
Do następnego spotkania!

## **Teraźniejszość**

Żyjemy obecnie  
żeby zamykać się  
tworzyć barykady  
boimy się coraz bardziej  
agresja wzrasta  
brak bezpieczeństwa  
to diabelski świat  
ale nadchodzi wyjątkowy czas  
gdy mroźno srogie wiatry  
serca napelniają się miłością  
cieplem, serdecznością.  
To czas narodzin  
istoty oczekiwanej kochanej  
Dzieciątka Bożego!

# Krystyna Obara-Morawska

## Tryptyk o łące

### *Część pierwsza*

Biegnę.  
Dorotka też biegnie.  
Przywieramy do siebie  
I bęc w kwiatki!  
Góra, dół, niebo, trawa.  
Zaciśnięte w śmiechu oczy.  
Przewracanie. Kwiatek w zębach.  
Z góry na dół!  
Kolorowy kołowrotek!

### *Część druga*

Sukienki małych dziewczynek.  
Do nich się uśmiecham dziś.  
Kwiatki tamte liczę.  
Nazwy przypominam.  
I bywam czasem na tej łące.  
Och! Jak szczęśliwie bywam  
W tamtym obracaniu.

### *Część trzecia*

Dzisiaj stąkam po tej łące ostrożnie, by  
nie zdeptać w sobie tamtej dziewczynki.

01–24.04.2018

## Przyjemność

Wiesz  
Jak wygląda  
Przyjemność?  
Przyjemność  
Jest w stylu  
Legato



Oddech się łączy  
Z oddechem  
Dotyk przechodzi  
W dotyk  
Ciało moje  
I nie moje  
Płyną sobie  
Od startu  
Do mety  
A meta  
Czeka  
Z nagrodą.

*Stara Wieś, 12.12.2015*

## **Chopin\***

*W 167. rocznicę śmierci*

Chopin w górach  
mi gra  
kapie deszczem  
i snuje się  
w mgłach  
tu kaskadą  
strumieni  
z loskotem  
tam znów  
wpełźnie pod  
mostek  
z powrotem  
znowu Wisłę  
rozpedzi i spieni  
zakołuje jak  
diabeł anieli  
jak huragan  
zawyje, zabuczy  
ściśnie tak  
że pokory  
nauczy  
i dobiegniesz  
do krzyża  
a tam...

cicho!!!  
B- moll sonatę  
Pan Chopin  
gra.

*Ustroń, 17.10.2015*

---

\* Utwór otrzymał III nagrodę w Konkursie Jednego Wiersza w Teatrze im.  
Stefana Jaracza w Otwocku

## **Czyste kobiety**

Czyste kobiety  
trzymają wartość  
nad światem

ręce czystych  
kobiet  
zatrzymają  
ponad głową  
meteoryt

oczy czystych  
kobiet  
tak spokojnie  
lśnią

dusze czystych  
kobiet  
wiano  
dla pokoleń

i tylko lzy  
czystych kobiet  
żłobią wąwozy  
ból  
na licach  
miłosiernych.

*Stara Wieś, 16.12.2015*

# Agnieszka Ochenkowska

\* \* \*

*Profesor Zofii Rejman*

ktoś powiedziałby że to tylko ręka  
nad podkreśloną kartką papieru słów nieskładnych tykanie  
kończy żywot w przydymionym świetle  
kilka niedopalków w popielniczce otwarte *Problemy*  
*literatury* nagle jasność oświecenie

może byłoby lepiej ułożyć litanie z tych słów  
włożyć w nie pamięć i zamknąć w sobie  
zapisać szyfrem kołatanie  
a nade mną była twoja ręka

na twoich włosach śnieg a ja popiół tylko  
widzę wszystkie kostiumy maski przedstawienia  
na które nie poszliśmy choć wstęp zawsze jest wolny  
ktoś powiedziałby że to niewiele  
i ja bym w to święcie uwierzył  
bez Ciebie.

## Barbara Osior-Turcza

### Truskawki

z papierową torebką pełną truskawek  
stoisz zagubiona na schodach  
domu towarowego w Lublinie  
torebka pęka i na półpiętro  
wysypuje się kilka rozmiękłych owoców  
przechodząca para w średnim wieku  
krzyczy z tego powodu na małą dziewczynkę  
pozostawioną na chwilę przez rodziców  
ten krzyk siedzi w jej głowie  
przez następnych kilkadziesiąt lat  
i powraca falami  
jak wiele innych zdarzeń z jej życia  
niemożliwych już do usunięcia

## Andrzej Ostromęcki

### Bois de Vincennes

Miasto dalekie,  
Dzielnica odległa,  
Na południowym wschodzie.  
Ulica nieznana,  
Piętro, wiem, czwarte  
Schodami przemierzane,  
Starej Kamienicy.  
Może pracą codzienną,  
Siatką z zakupami,  
Samotnością  
Z obrazem Daumesnil,  
Drzwiami, które  
Nie zatrzaśnięte.

### Central park

Nigdy nie byłem w Central Parku  
Codziennie, na Polu Mokotowskim.  
Taka sama oaza  
Otoczona śródmiejskim gwarem,  
Oaza zamyślonych spacerowiczów,  
Oaza zieleni i matek z wózkami,  
Oaza alejek i biegających piesków.  
Są radosne i szczęśliwe,  
Każdy na swój psi sposób  
Są podobne do panów.  
Ci też są szczęśliwi  
Na swój sposób  
W Central Parku

### Czas

Dni moje – upływające,  
Wśród telefonów, komputera, spotkań,  
Ustalanych w pośpiechu,

Gdy trzeba wyważyć gdzie szybko,  
Gdy czas na wagę złota.  
Prędeż, prędeż  
Bo czekają cierpiący!  
Trzeba pomyśleć  
Co im zawieźć.  
Nie tylko słowo Franciszka,  
Ale poprzez to słowo  
Jakże wiele się dokonało.

### **Daty równoległe**

Czy wybaczysz?  
Datę taką samą?  
Datę wyjścia  
Dat wcześniejszych,  
Zbyt pospiesznych,  
Niezrozumiałych,  
Przyjętych z pokorą,  
Wybaczonych,  
Już dawno.

### **Dla Beaty – 22 września 2015**

Jeszcze wczoraj  
Uczyłaś mnie Empatii  
Na Fejsbuku,  
Jeszcze pozawczoraj  
Widziałem pająki,  
Pisałem wiersz.  
O gwiazdach.  
Dziś nocą przed mym oknem  
Gwiazdozbiór Oriona,  
Nad czerskim Zamkiem,  
Którego nie widziałaś.  
Spełniło się.  
Non omnis moriar,  
Lajkowałaś

## Dziedzina

Mazowsze to Niobe,  
Mazowsze to Utrata,  
Roześmiana Siostra niepokalanka  
W bieli,  
Sady grójeckie  
Ileż podobne,  
Ziemia rozległa,  
Rewitalizowana  
Pracą, która od każdego  
Kto chce być u siebie,  
W dawnych posiadach  
Nad Wisłą  
I cmentarzykiem w Laskach  
Wspominającym Wielkich

## Franciszek

Nazywają to Franciszkomanią:  
Czy chodzi o sposób bycia?  
O ten uśmiech?  
O białą pioskę?  
Powiadasz – ależ już było.  
Trzeba się wczytywać, trzeba się modlić,  
Trzeba rozumieć ubogich,  
Być prostotą i ubóstwem,  
Być pokorą.  
Wtedy zrozumiesz,  
Wtedy będziesz bliżej  
Tego uśmiechu!

## Georgia on my mind

Byłem włóczęgą:  
Z Jackiem Londonem,  
Z Curwoodem i samotnością  
Tak już zostało!  
Plaża nocą pod Rjeką,  
Diuny Akjujt

I te pomysły... Greyhoundy  
Poprzez Dust Bowl  
To Basin and Range Province.  
Samotność?  
Tak już zostało  
To nie było dla Niej!

### **Rozmowa ojca z synem**

Syn: one wszystkie lubią się przytulić

Ojciec: a ty?

Syn: wolę YAMAHE ścigacza, kask i skóry

Ojciec: dlaczego?

Syn: to pęd, szybkość, wolność, przemieszczanie się, bo ja wim co? Kocham to

Ojciec: YAMAHA? 500 – rozumiem?

Syn: jasne

Ojciec: a może trochę ryzyka? No i ryku

Syn: hm

Ojciec: widziałeś dziewczyny w skórach, w kaskach, z tym blond warkoczem  
zniewalającym? Były spełnione do końca? Może były samotne? Nie  
bały się ogromnego ryzyka? Komu miały dostarczyć „części zamien-  
nych”. Sobie mogły kupić tę Yamahę 500, jak i zresztą potem kurację  
po wypadku. Lubisz się przytulić? Jak wyleziesz z garażu?

Syn: najpierw piwko

Ojciec: jeszcze wiele autostrad przed tobą – tylko błagam... Nie po piwku!!



## Krystyna Rejniak

### Jeździec i koń

złączeni z sobą  
odruchem mięśni  
elegancją ruchu  
zespoleni siłą  
człowiek i zwierzę  
bicie dwóch serc  
piękno natury  
tworząc przyjaźń  
skazanych na wspólny los  
popędzić klusem  
pod horyzont ziemi  
w euforii emocji  
krzyku i prychnaniu  
hej dalej  
przegonić wiatr  
zachodzące słońce  
sielski żywot

10.2017

### Wierzba

*pamięci Barbary Denkiewicz*

Głaskałaś ją pętami po głowie  
wiosną nadzieją  
latem ciepłem  
jesienią spełnieniem  
zimą oczekiwaniem  
pieściłaś je swym wzrokiem  
czas swobodnie płynął  
ciągnęłaś za sobą bagaż  
wzlotów i upadków  
triumfalnie z nich wychodziłaś  
nagle przyszedł  
przekorny los  
pod toporem padłaś  
skończyło się  
gdzieś to uleciało znikło

zostały tylko  
te Wierzbowe lzy  
spływające po policzkach...

## **Pasja miłości**

przyszła znienacka  
zauroczyłam się bez pamięci  
w niepojętej coraz bardziej  
jaśniejącej miłości  
oddalam się tobie cała  
porzuciłam wszystko  
iść za twym głosem serca  
po horyzont krajobrazu  
w słońcu i w deszczu  
zawierzyłam ci swój los  
choć są przeszkody  
zostawiam je w tyle  
z pogodą na twarzy  
wiem że dasz mi wsparcie  
gdy ogarnie mnie niemoc  
rozbudzisz we mnie  
światliste światło  
trudu i znoju na ziemi  
twoja ręka wyciągnięta  
jest wielkim wzruszeniem  
czuję twój dotyk duchowy  
na górze anioły grają  
pięknie na skrzypczkach  
śpiewają nam pieśń triumfalną  
moja pasja zakochania się w tobie  
mój najukochańszy Jezusie

## **Upojna noc**

wtapiam się w gorące  
męskie ramiona  
prężne muskularne  
miękkie zmysłowe  
dotyk nieznanego

bezgraniczna rozkosz  
usta rozwarłe  
opuszki palców  
muskają sutki  
stanowią jedną całość  
wzniosłe drżenie ciała  
urok pieścizot pocałunków  
strzała amora trafiona  
serca walą oszalałe  
w zgodny rytm dzwonu  
czule w krzyku  
wędrówka cielesna  
oczy zmrużone  
– jak wspaniale  
dotyk uwodzicielski  
zazębia o pośladki  
zmysłowość czaru  
księżycowej nocy  
niech to tak dalej trwa

i właśnie wtedy  
stało się coś diabelnego  
zadzwoił budzik

## Katarzyna Rymaszewska

### Bezdomni z ulicy Przybyszewskiego

Bezdomni z ulicy Przybyszewskiego,  
bezdomni Bóg nawet nie wie dlaczego.  
Pchają wózki pełne żalu, rozwodów,  
niewdzięczności dzieci, straconych domów.  
Samotni, wietrzni, zziębnięci do kości  
pchają wózki lodowatych miłości,  
wózki goryczy, utraconej pracy.  
I tak idą powoli, bez kolaczy.  
Pchają dumną wannę pełną łez, złomu,  
wielką, ciężką, niepotrzebną nikomu.  
Lodówkę ciepłych uczuć bez pokrycia,  
I tak idą , nie do domu, do życia.  
Zgarbiony, niczym Chrystus ze swym krzyżem,  
w ciszy, do skupu odkupienia idzie.  
Z Wielkimi Wozami marzeń, gwiazd, śmieci,  
bezdomni wśród nas – Zbłąkani Poeci.

### Tata Brum-Brum

Mówią że Ty i ja tak podobni, że jak skóra zdjęta.  
Co to znaczy – czy Twa miłość jak skarb w me ciało zaklęta?  
Dla mnie Ty jesteś Stworzycielem, Panem mojego świata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie tata.

Nie chcę nowego mieszkania, dom to Ty, Antoś i mama.  
Chcę tylko budzić się przy Tobie, widzieć z samego rana.  
Ty jesteś moim królem, mądrym jak ta sowa puchata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie tata.

Nie chcę nowych zabawek, prezentów, szybkich samochodów,  
chcę znów chodzić z Tobą do zoo, do tęczowych ogrodów.  
Nie chcę czekać na Twoją kolej, na wakacje, do lata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie, tata.

Kiedy krzyczysz na mamę wali się niebo i cały świat,  
chcę odfrunąć wtedy tak bardzo daleko, jak czarny ptak,

lub jak srebrny dron co tak wysoko jak orzeł w górze lata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie, tata.

Straciłem mój dom, śmiech mamy, i mego brata-bliźniaka.  
Wiem, jestem już duży, ale mam tylko dwa i pół lata.  
Życie może być znów dobre, słodkie jak cukrowa wata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie, tata.

Nie chcę nowych bucików, modnych ubranek „Napapijri”,  
chcę byś był przy mnie tutaj zawsze, w dzień, w nocy, w każdej chwili.  
Moje życie tu bez ciebie jest jak wielka szara lata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie, tata.

Nauczę się ślicznie mówić może już do przyszłej wiosny,  
będę niedługo duży, tak jak ty, mądry i dorosły.  
Umiem mówić „blue”, udawać starszego brata, ale słów  
„Kocham Cię” ty mnie naucz, tata.

Wszyscy mówią o chrzcie w kościele, że Bóg, święty sakrament.  
Dla mnie Tyś moim Bogiem, i Aniołem Stróżem, i Amen.  
Możesz wszystko – tulić mnie w nocy i gdy ranna poświata.  
Tata brum-brum, wróć do mnie, tata.

*26.11.2016*

# Jadwiga Siwińska-Pacak

## Warneński wiatr

(*tanka 5-7-5-7-7*)

Piszę bez rymu  
Poemat czarnomorski  
Cisza wieczoru  
Gdy fale uderzają  
Głazy na plaży milczą

\*

Poranna kąpiel  
Morze Czarne w błękitach  
I mewy nie śpią  
Po odpływach fal dary  
Wydziobują starannie

\*

Na wschód od Warny  
Enklawa czystej wody  
Nasłonecznione  
Ciała młode i starsze  
W leniwej kontemplacji

\*

Spacer powrotny  
Park na wysokim brzegu  
Z wiatrem w plecaku  
Zgubiłam okulary  
Herbata z kwiatu lipy

\*

Już pożegnanie  
Południowej słodczy  
Warneńskich śliwek  
Jeszcze tylko kilka zdjęć  
Lip kołyszanych wiatrem.

*Warna 2016*

## Wisła w Kazimierzu Dolnym

Jest takie miasto nad Wisłą znaczone szlakiem zbożowym niegdysiejszego dostatku i blasku polskiej korony. Nurtem nie płynie dziś zboże, król odwrócony plecami. W spichlerzach, świadkach historii zasobność tętni inaczej – można tam coś zjeść, wielu wpada na piwo.

Zakole, odległy horyzont, piaszczysta plaża. Z góry Trzech Krzyży widok na drugi brzeg i zamek w Janowcu. Przy studni na rynku czas wstrzymuje swój oddech i pozwala uwolnić marzenia. Grupom wycieczkowym towarzyszą na rynkowym bruku gołębie karmione okruchami „kogucików”, wypiekanych w miejscowych piekarniach, jako znak firmowy tego miasta.

Wieczorami miasto wychodzi nad rzekę. W jej lusterku niebo wróży stan pogody przy akompaniamencie żab rezydujących w pobliskich łągach.

Dla gościnniej obecności przybywają tu liczni artyści w poszukiwaniach, by z lezką żalu wyjeżdżać i z wielką czułością powracać. Niektórzy zamieszkali na stałe i tworzą klimat piękna.

*Kazimierz Dolny 2017*

## Mgły grudniowe

Mamy kolejny grudzień oswojonych złudzeń w Ojczyźnie wolnej od upragnionej prawdy, gdzie miłość bliźniego przybiera postać „szlachetnej paczki” pod choinkę. Dobrze widziane bywa podzielenie się z biedniejszymi od nas chociaż raz w roku.

Już od listopada handel błyszczący i wrzeszczy. Odkurzacze w domach pochłaniają ciszę. Ulatnia się powoli zapach pierników ustępując miejsca peklowanej szynce i karpom we wannach.

W lasach popłoch iglastych przed siekierami pobożnych. Przebierańcy laskawie już nie używają tradycyjnej różgi. W zamian odporni w nozdrzach rozsiewają nieświeżość szat wywołując u dzieci odruchy dalekie od uśmiechu wdzięczności.

Chory wypatruje pod choinką recepty siedemdziesiąt pięć plus od właściwego lekarza. Może to jeszcze nie ostatni rodzinny oplatek?

Kobiety – babcie, matki, żony, córki – patrzą wyczekująco na to wolne ciągle miejsce przy wigilijnym stole i pusty jeszcze talerz, pomimo że półmiski prawie opróżnione, a zegar woła na Pasterkę...

Dwa ważne wieczory – wigilijny i sylwestrowy – mają być białe.

Gdy jednak zasnują nas mgły?

*Warszawa, grudzień 2017*

## Hanna Sławińska

### Dziewczynka z zapalkami

Chciała choinki z cukierkami w złotych papierkach,  
pierniczków i bombek w których odbija się świat,  
ale było ciemno i zimno,  
więc paliła zapalki i płonęła.  
Jej ciała nie odnaleziono.  
Byłby to zwykły dramat rodzinny,  
gdyby była rodzina.  
Na szczęście – nie było rodziny.  
Tylko wieczór wigilijny...

### W nocy

Anioł dotknął mnie skrzydłem i obudził!  
– Wstawaj! Idziemy na piwo! Ja stawiam!  
– Daj spokój! Gdzie po nocy?!

Ale anioł to anioł, a więc zwlekam się z łóżka.  
Wkładam czapkę na głowę. Idziemy.  
Ulice ciemne i puste. Zimny wiatr. Knajpa nie jest daleko.  
Do ostatniego klienta. Wchodzimy.  
W środku ciepło i gwarно. Pod sufitem mecz leci.  
Siadamy. Zamawiamy duże jasne.  
Nikt nie zwraca na nas uwagi..  
Ci pod oknem śmieją się hałaśliwie.  
Nasza rozmowa jest inna:  
On milczy i ja milczę.  
W końcu pytam:  
Skąd my się w ogóle znamy?  
Uśmiecha się tajemniczo, patrzy w oczy głęboko:  
– Może raz jeszcze to samo? – I bieli tymi skrzydłami..  
Widzę że jest już pijany,  
Jak to niebo z gwiazdami lśniąco od potu i łez.



## Gorączka

To dzieje się czasie komórkowym, gdzie wszystko pojawia się zanika jednocześnie. Mieszkam tu w domku dla ptaków. Jest cały z patyków, czuje wiatr pod stopami.

Chciałabym zamieszkać na ziemi. Zdarza się czasem jakies podwórze gdzie jest trzepak, krzak bzu okryty kwiatami i balkon, na którym wietrzy się nie pierzyna, lecz napis „Mieszkanie na sprzedaż”.

Trudno to pojąć. Komórki nie widać. Do tego potrzebny jest mikroskop, teleskop lub horoskop bo myśli są malutkie albo bardzo wielkie. Właściwie niewidoczne, chociaż zęby szczerzą. Ale co to ja chciałam powiedzieć? Kiedyś miałam futerko. W komórce jest ciasno, nie ma gdzie stopy postawić, a każda z innej bajki. I wszyscy naraz myślą. Aż trudno oddychać. Nagle ktoś płacze. Co mu jest? Ktoś wrzeszczy. Nikt nie płacze. Nikt nie wrzeszczy! To tylko stół trzeszczy!

Właściwie nie stół, tylko skrzynia na węgiel przykryta czerwoną, jak krew, ceratą przy której siadano w kuchni. Tu były te nocne czuwania. Sporty i giewonty. Czasem czysta. A zawsze herbata. Węgiel, był z piwnicy. Aby napalić w, zdejmowaliśmy blat stołu, czyli wieko skrzyni. Napelnialiśmy kubek kawalkami węgla i zanosiliśmy do zimnego pokoju, gdzie zimny piec czekał. Były trzy pokoje. Dwa piece o kaflach koloru żółtego, trzeci był zielony.

Najpierw rozpala się w jednym piecu. Po usunięciu popiołu trzeba ułożyć na ruszcie kawalki drewna. Przydatne są cienkie drzazgi. Strugamy je nożem. Potrzebny jest jeszcze papier na rozpałkę. Najlepsza stara gazeta, czyli zużyte wiadomości lub listy, na które już nikt nie czeka: „w niejasnych okolicznościach doszło do katastrofy gigantycznej łodzi podwodnej o napędzie atomowym. Łódź spoczywa na głębokości stu metrów, ceny rosną. W lipcu inflacja sięgnęła jedenaście przecinek sześć... bezrobocie utrzymuje się... co wpływa niekorzystnie na nastroje społeczne... choinka w Nowym Jorku waży dziesięć ton i jest ozdobiona tysiącami lampek led”. I różne takie.

Kawalki gazety wkłada się pod drewno. Gdy są już ułożone, z pudełka zapalek, wyjmujemy jedną. Przez potarcie jej główki zyskujemy płomyk który szybkim ruchem przykładamy do łodzi podwodnej lub innej katastrofy, których nigdy nie brak.

Płomień chwytą papier. Ten zwija się, kurczy i pochłania inflację. Robi się wesoło: plonie ognisko i szumią knieje.

„...kochany wydajesz mi się tak odległy, że do otrzymania twych listów z Rzymu (ogień na chwilę przygasa, milknie, język liże język) ...ale nawet... listy dochodzą i mam chwile kiedy... żar wżera się w papier i wyżera słowa. przenosisz się do. płomieni... ten list kiedyś dojdzie. Wędrujemy z węzłkami, gdzie nie wiem ale po tym piekle wszystko jest szczęściem, ważne jedynie, że żyję i zobaczę Cię. Adresuj do Milanówka”. Gdy już się pali,

przymykamy drzwiczki: trzeba je zostawić lekko uchylone by zachować cug. I tak powstaje tam wicher. Gdy spojrzeć w tę szparę, można zobaczyć pokój z balkonem, widok z na kościół przy placu Narutowicza otoczony topolami. Balkon płonie dzikim winem. Dzwonią dzwony. Jest niedziela. Matka stoi i przegląda się w lustrze. Ma welnianą sukienkę w paski. Podoba się sobie. Słońce kładzie się jasnymi plamami na deskach podłogi. Ciepła podłoga staje się gorąca, zaczyna się tlić. Ona tego nie widzi. Pelznący ogień wspina się po meblach, zegar spływa po stole... jakoś sobie damy radę. Musisz być dobrej myśli, kochanie... piszę... Pamiętaj, że pierwszym warunkiem powodzenia życiowego jest ... litery tańczą i nieruchomieją w popiele. Wiatr huczy, ktoś tam śpiewa, ktoś komuś zlorzeczy, ktoś się żali. Brzęczą złote pszczoły, skacze ruda wiewiórka O! I coś jakby pies! Tak to pies!, węszy, czegoś szuka a raczej się lasi. Jego sierść jest gładka. Ale dotyk parzy! Odskakuje zawstydzony i ucieka z podwiniętym ogonem w głąb. Goni go szydyczny śmiech ha, ha, ha, tak, to chyba był pies... A śpiew nie ustaje”.

Zamykamy drzwiczki. Już się rozpalilo.

Ale ogień wzrok wabi i mami. Wjeżdża tam wózek. I kukła na wózku. Pusta drewniana lala z małą myszką w środku. Ogień do niej gada. Myszka się boi, nie rozumie ognia. Drewno jej nie ochroni, wąż już wsuwa się do środka. Jabłko jest gorące mrówki wariują, pędzą żółte taksówki, stopione stropy, dym. wniebowstąpienie, skaczą białe króliki w czerwień spódnicy.

Dobrze się pali.

Tu jest mój dom. Tu mieszkam. W komórce. Cegły jarzą się w środku. Korzenie szukają gruntu lecz gruntu tu nie ma i nigdy nie było. Jest tylko ten ogień, co gada do siebie.

Gorączka.

## Hanna Sławińska i Lidia Troć

### Rozmowa w SMS-aaach o Róży

#### **Lidka 19 czerwca. godz. 09.42**

Jestem różą  
Różą dnia z drzewa  
W głosie nocy  
Z gałęzi godzin  
Z liści słów  
Z ciszy oczu w płatku róży  
Lustro z kolcem róży

#### **Hanka 20 czerwca godz. 11.08**

linią brzegową bez kresu  
w błady aksamit przedświt  
ku złotej róży dnia  
szczek psa

#### **Lidka 20 czerwca. godz. 15.32**

Patrzy w lustro  
Czuje ostrość łodygi  
Wchodzi w dzień

#### **Hanka 21 czerwca godz. 10.57**

rozchyła płatki  
w południe obnaża  
kolcem własnym  
zadaną ranę

#### **Lidka 21 czerwca godz. 17.20**

Zabawa różą jak akacją  
Powróżyć, powróżyć  
Jeden po drugim  
Płatek  
Odkrywając

#### **Lidka 22 czerwca godz. 17.10**

Nie zrywać do końca  
Boli  
Stul płatki  
Śpiewaj wiatrem

**Hanka 22 czerwca godz. 17.12**

Rózo, siostró moja

**Lidka 23 czerwca godz. 03.53**

Nie mogę spać

**Hanka 23 czerwca godz. 14.29**

nie przechodź na świetle czerwonym czerwona róžo  
nie przechodź gdy światło zielone  
nikt na ciebie nie czeka  
gdziekolwiek jesteś róžo pozostań, idę do ciebie

**Hanka 23 czerwca godz. 16.00**

pomnażam płatki róży  
rachunkiem różniczkowym

**Lidka 23 czerwca godz. 20.45**

Róža w pociągu  
Patrzy w okno  
Świat zatrzymał się na peronie  
Skoczyła na gałąź  
Drzewa co stoi tam od kilku pokoleń  
Zdziwił się dzieciol  
Czy tym kolcem wydziobie coś spod kory mózgowej

**Lidka 25 czerwca 2016 godz. 09.35**

Czy Ty też jesteś różą

**Hanka 25 czerwca 2016 godz. 09.43**

zanim rozkwitłam  
przebiłaś mi serce

**Lidka 25 czerwca 2016 godz. 10.05**

Nóż w wodzie łśni

**Hanka 25 czerwca 2016 godz. 11:34**

otwórz mi drzwi  
otwórz mi drzwi

**Lidka 26 czerwca godz. 18.25**

Idziesz obok, Ślepa  
Czego szukasz?

**Hanka 28.06. godz. 20.09**

wiatru w polu, Róży wiatru

**Hanka 29 czerwca godz. 07.18**

wznoszę się do nieba

**Hanka 29 czerwca 07.22**

tysiące róż pod nóż

**Lidka 29 czerwca godz. 07.25**

Konstelacje zimowe nieba

Południowego z kolcem róży

I jednorożcem

**Hanka 29 czerwca godz. 07.30**

konstelacje zimowe

nieba południowe

po co róży kolce

**Lidka 29 czerwca godz. 07.33**

Żeby zostać

Nie sfrunąć

Zatrzymać

Na niebie południowym

Na grzbiecie jednorożca

**Hanka 29 czerwca godz. 07.35**

nazywała się Róża

bezwonna, przeźroczyta

do nieba wstąpiła

tylko kolce ciszy tkwią tam jeszcze

**Lidka 29 czerwca godz. 07.42**

Gdzie kolce ciszy

Tam niebo rozbrzmiewa

**Hanka 29 czerwca godz. 07.42**

nie pojmuje już tajemnej mowy kwiatów

może o pietruszce?

**Hanka 12 lipca godz. 22.23 przesyła namalowaną różę**

**Lidka 13 lipca godz. 07.34**

Malarz dal ci mowę ziemi  
Bruzdami płatki ułożył  
Ciszę rozjaśnił  
Kolorem pomarańczy

**Lidka 14 lipca godz. 07.50**

Stoi w strugach deszczu  
Płatki ciężkie od wilgoci i kurzu ziemi  
Opadają niczym zranione skrzydła

**Lidka 15 lipca godz. 07.14**

Falbany spódnicy  
Wiją się wokół lodygi  
Zbierają grudy ziemi niczym zaciśnięte liście  
Pokryte mszycą  
Róża przekwita

**Hanka 15 lipca 07.23**

po jej kolcach wstępuję w błękit nieba

**Lidka 15 lipca godz. 07.24**

Ty?

**Hanka 15 lipca godz. 07.25**

lub Ty

**Hanka 15 lipca godz. 12.00**

róże  
falbany, deszcz, grudy ziemi  
strach na wróble, szczekanie psa

**Lidka 16 lipca godz. 16.02**

Łodyga schowana w lachmanach  
Kolec podtrzymuje kapelusz  
Szpaki

**Hanka 16 lipca godz. 16.18**

Róże, grudy ziemi, strach na wróble

**Lidka 16 lipca godz. 16.19**

Frunę na bal

Zawirowana w swoim zapachu  
Zapomniałam o strachu tańcząc ze strachem

**Lidka godz. 16.23**

Już jesteś mój

**Hanka 16 lipca godz. 16:24**

strzegę słodczy wiśni

**Lidka godz. 16.42**

Nie potrafię tańczyć  
Tylko płatki pulsują  
Wspominam bale kiedy zakwitłam  
Zamieniam kolec w obcas szpilki

**Hanka godz. 19.21**

prawdziwa róża ukryta w Róży  
już świta

**Lidka godz. 19.25**

A u mnie dopiero zmierzcha  
Czerwienię się jeszcze

**Lidka 17 lipca godz. 08.52**

Sen przyszedł bezsenny  
Nie uwiódł muzyką  
Ale zabrał kolczaste wspomnienia

**Hanka godz. 11.15**

krzyki na podwórzu  
budzi się skąpiana w czerwieni

**Lidka godz. 12.13**

A jednak czerwień  
Jak w jego w ramionach

**Hanka godz. 12.15**

skąd my się znamy  
świat jest wieczną różą

## Lidia Troć

*Z cyklu „pisane w pociągu”*

### W pociągu

Codziennie rano witam się z makami  
I pytam dlaczego tu wyrosły  
Wzdłuż torów  
Czy dla kopciuszka  
Niech liczy płatki  
Pociąg tak pędzi  
Ze nawet wzrokiem nie policzy  
Będzie tak jeździć aż kwiaty zwiędną

### Demony

Balam się pomyśleć że mogę o tym myśleć  
A jednak obudziłam demony  
Wylazły gęsiego a na początku on  
Co mi zabierał sen a tuż za nim ten  
Co chciał wpędzić w bezruch  
Siedzę w pociągu i widzę je w oczach pasażerów  
Siedzą tam w nich  
Moje albo ich  
Śpieszę się do pracy

### Już wiem

Boję się przyznać, że Cię kochałam  
To była trudna miłość  
Śpiewają o niej piosenki  
A mnie się przydarzyła  
Tak mocno kochałam  
Czy wiedziałeś  
Dlaczego ranileś  
Splątani pokłóceni spoceni  
Z szybkim oddechem słowem i milczeniem  
Coraz mocniej wbijaliśmy pazury w ranki i noce



Chcieliśmy przytulania krzyżąc  
A teraz jest spokój pomiędzy grobami  
Ulotna pamięć chroni mnie przed smutkiem

Podobno życie toczy się dalej  
Czas nie stanął  
Minuty płynęły  
Ja stałam  
Toczył się kamień po ścieżce  
Czy coś straciłam  
Czy teraz muszę podbiec

\* \* \*

Nie oszczędzaj dobrych słów  
Powtarzane choćby najciszej  
nie tracą dźwięku  
Nie oszczędzaj na jutro bo niewypowiedziane  
dzisiaj mogą stracić adresata  
Nie oszczędzaj czasu na dobre słowa  
teraz możesz  
Wczoraj już tylko mogłeś  
Jutro zbyt niepewne  
Teraz powiedz głośno niech usłyszą  
Dobre słowa

## **W parze**

Za dużo mnie  
Za dużo Ja  
Wypełniłam sobą całe wnętrze  
Czy masz jeszcze czym oddychać  
Otwórz okna, rozsłoń zasłony  
Powietrze  
Słońce

# Sławomir Stalmach

## Lot ku marzeniom

Ptaka nie usiadł na korzeniach, poleciał na gałąź,  
z góry patrzył w przeszłość swojej drogi i analizował czas,  
który jak wiatr nadal płatał jego skrzydła.  
Człowiek zbudował dom dla swojej rodziny,  
potem wymyślił luk nad drzwiami do świątyni,  
złapał oddech,  
nazwał boga i dodał mu życia ze swoich marzeń.  
Po co mu to było?  
Mógłby przecież usiąść zwyczajnie,  
jak ptak,  
na końcu swojego lotu.

## Ja, tak samo jak ty

Z głowy do głowy przejdą tylko metafory,  
one są naszym językiem.  
Ładne – powie każdy człowiek z osobna,  
to straszne – odczuwamy po swoim,  
śmieszne, zaskakujące, gorzkie, błogie,  
moje.  
Oczy widzą zawsze własną prawdę,  
zmysły pracują prywatnie,  
bo wszystko jest dla mnie, jak we śnie,  
tam mój świat istnieje obok innego.  
– Nie ma więc nic wspólnego?  
Podwójne są tylko przenośnie,  
na przykład, że miłość jest jak sukno przesywane dobrem i złem,  
początkiem i końcem,  
mną i tobą.

## Podpis

Mistrz stworzył dzieło z niczego,  
nie potrzebował materiału,  
narzędzi, dłuta, pędzla, nut,

ani też – tym bardziej – weny i talentu.  
Dzień i noc pracował bez wytchnienia,  
w gorączce snuł jedwab powieści epickiej,  
jak okiem sięgnąć – wzloty i upadki,  
gorące wątki historii miłosnych,  
dzieje panien i rycerzy.  
Był zadowolony ze swojej pracy.  
Pozostało jeszcze dodać opisy przyrody,  
nadać rysy bohaterom,  
wojny umieścić w epoce,  
wszystko zakończyć morałem,  
złożyć podpis.  
To już, wystarczy się podpisać? – zastanowił się.  
Jak nikt stworzył rzecz z niczego.

## Wysokie C

– Pokaż mi, jak kiedyś, łąki twojego dzieciństwa,  
oddaj zapach beztróski.  
– Źle się dzisiaj czuję, jestem zmęczona.  
– Pamiętasz? Krwawnik, babka, rumianek,  
kwiaty były co krok,  
dumnie przeżyły się do słońca.  
Próbowałaś, niektóre były jadalne,  
biegalaś po nich bosymi stopami,  
śmiejąc się radośnie.  
– Czuję jesień samotną, zaczyna deszcz,  
chcę się przykryć, położyć pod dachem.  
Jeden raz weszliśmy na wysokie C,  
teraz to już się nie zdarzy.

## Depozyt

Poruszam się w ramach mojego kwartału,  
procentowo wyliczonych możliwości ludzkich,  
jak pyłek trawy niesamodzielny,  
targany wiatrem,  
wznoszony nawet do stratosfery.  
Wiem na pewno, że to nie jest przypadek,  
jedynie brak mi wiary.  
Ja, depozytariusz zapisu.

# Iwona Świerkula

## Rozsuniecie zaslon

kurtyna podnosi się i znowu dzień szarobury  
kobieta pełna mężczyzny  
świat prawie taki sam jak wczoraj  
pies wysłepia się w zaśliniony poranek  
który chce aby też go pogłaskać  
za oknem deszcz zszywa niebo z kałużami

kobieta już zapomina o bezsennej ciemności  
noc nakryła różową narzutą  
trzeszczy czajnik  
filiżanka z taninami  
ile brązu rozchyła się z liści herbaty  
chleb bez masła bo to mniej kalorii  
pomiędzy kęsami pośpieszna zdrowaśka  
a kobieta już się zastanawia  
jak otworzyć konserwę codzienności  
ciekawa wszystkiego aż do zgaszenia światła

potem znowu wspomnienia otwierają oczy  
i jak sowy po ciemku  
wypatrują okruchów miłości

## Zawał

twarz księżycem pobladła  
bo dwa słońca zaszyły za horyzont  
to jej oczy

mąż na podłodze  
a ona wisi nad nim jak sopel  
wezвано już pogotowie

tłum buduje płoty  
świat ogrodzony spojrzzeniami  
cykają zegarki

ile sekund w człowieku  
przez długie jelit korytarze  
przez zwoje w mózgu poskręcane

tylko miłość jak chirurg dostaje się do środka  
bo tam gdzie staw obślizgły nie ma życia  
a w niej są same wodospady

w jednej chwili szczęście potrafi spaść na podłogę  
i jak kieliszek od szampana  
rozmienić się na drobne

### **Wieczór paniński**

słyszę jak się klóć  
wyklócają się o wszystko  
bo są we mnie panny mądre i panny głupie

raz prym wiodą te głupie  
a raz wygrywają roztropne  
od czego to zależy i jaka jest miara głupoty

panny głupie jak kury wysiadują twarze w lusterkach  
malują paznokcie i się pokładają  
by lakier powysychał

panny mądre szydelkują haftują  
aby mieć upominek  
dla Oblubieńca

panny głupie wypily za dużo  
sztuczne rzęsy im się odkleiły  
szeroko ziewają i śpiewają fałszując

panny mądre nigdy się nie nudzą  
czytają poezję  
bo z książką im do twarzy

budzę wszystkie panny  
bo słyszę że pan młody z piskiem opon podjeżdża

## W domu opieki

szukam ojca który miał dwóch synów  
jeden roztrwonil spadek może znów się zapil  
a drugi oplaca rachunki

ojciec chory na Alzheimer'a ale pamięta że miał dwóch synów  
jeden odszedł a drugi wierny ale nie przychodzi  
może bierze nadgodziny albo jest w delegacji

a ojciec czeka  
gapi się w drzwi zamiast w telewizor  
i nasłuchuje kroków

gdy widzi młodych pyta  
czy przypadkiem nie spotkali młodszego syna  
bo jest taki naiwny

starszy pracuje  
nic dziwnego że nie ma czasu

szukam ojca  
który kiedyś być może  
miał dwóch synów

## Ubrany w łóżko

jeszcze ma czas tylko przestrzeń się zatrzasnęła  
sufit gapi się na pościel  
okno za daleko  
noc nie ma nic do powiedzenia  
a dzień tak bardzo nie lubi ciemności  
bawełna o chropowatej skórze  
poduszka twardsza od podłogi  
kto by pomyślał że nogi też są darem od Boga

żona zmienia mu pampersy  
choć sama cierpi na przepuklinę  
ale nikt nie cuci minut omdlewających  
które jak gwoździe przybijają do łóżka  
nawet szklanka wody mieszka za zakrętem

stał się wyspą beczynną  
tulów nie pasuje do głowy  
ciało jak przekłuty balonik

żona patrzy jak powoli  
wykluwa się motyl

# Wanda Szczypiorska

## Choroba

Widzę ruchomy otwór gdzieś niedaleko mojej głowy, lej wirujący w jakiejś nieznannej mi materii świecący intensywnym zielonkawym światłem i tam jest słowo „śmierć” raczej widziane niż słyszane. Umieram więc, a jednocześnie wiem, że nie, że jeszcze nie, nie teraz, że następnym razem.

A potem znowu ciemność. Przez chwilę jakby się poruszam, nie idąc jednak, ale leżąc, i znów pogrążam się w nicości.

A kiedy wraca mi świadomość, jest już jasno i wiem, gdzie jestem. Szpital. Oczywiście. I tylko to, nic więcej. Jakby wróciło się z niebytu. Leżę na dziwnym łóżku z poręczami z boku. A więc nie będę mogła wstać? Próbuję sobie coś przypomnieć. Rzeczywiście. Ja chyba tu zostanę, bo nie mam przecież domu. Mój pokój to głęboki lej, tak go zapamiętałam. Ka, który siedzi przy mnie, mówi, że całą noc czekali na lekarkę, wreszcie wezwali ratowników. Mówi, że trudno było mnie wytaszczyć, że chciano oknem, ale się nie dało. Wreszcie zniesiono mnie po schodach. Po schodach? To był lej.

Sąsiednie łóżko puste, gładkie. To, co się tu wydarza, zaskakuje, pojawia się nieoczekiwanie. To w czasie krótkiej przerwy pomiędzy atakami kaszlu dostrzegam tam staruszkę. Skulona, mała, leży byle jak, przynajmniej mnie się tak wydaje. A dalej, tak daleko, że przestrzeń tam jak nieosiągalna, kobieta w białym kitlu czymś zajęta. A to, co trzyma w ręku, to są ozdoby choinkowe. Po co? Zza przeszklonego przepierzenia słychać głosy, wesole, ożywione.

Kiedy się budzę Ka już nie ma. Tym razem to nie głosy, jakiś jęk, a może raczej krzyk. Staruszka? Chyba tak. Ktoś się po sali kręci, widzę to, ale nikt do niej nie podchodzi. Ona woła. A ja mam znowu atak kaszlu. Nie mogę przestać, duszę się. Właściwie ciągle kaszlę, a najbardziej wtedy, kiedy zza przepierzenia słyszę śmiechy i towarzyskie pogaduszki. Wiem, to jest nie w porządku, czuję gniew. Więc krzyczę – Proszę przestać! Nie pomaga. Nie słyszą chyba. Tego nie wiem. Nie wiem, co tam się dzieje, kto tam jest i o czym mówią. Nie rozumiem. Staruszka woła monotonna – Proooszę pani – nie do mnie, do nikogo, woła co chwilę, uporczywie, a mnie to denerwuje, a jak się denerwuję, kaszlę. Wreszcie przycicha. Ktoś tam jest, ale to nie jest pielęgniarka. Przy łóżku krząta się staruszek.

Przyglądam mu się, jak poprawia pościel. Przyniósł coś, chce żeby jadła, ona nie chce, skarży się, ale ja nie wiem, o ci chodzi. Nie słyszę. Mam dziwnie przytępiony słuch, O, teraz wiem, mówi mu, że ma mokro. On nie wie, co ma zrobić, kogoś woła. To pielęgniarka? Nie. Salowa. Ta mówi głośno, wszystko słyszę, domyślałam się, że coś się stało tej staruszce, że nie jest chora,



tylko potłuczona, ale nic więcej, no chyba tylko to, że ona mieszka w domu starców, a on nie, nie wiem dlaczego. Staruszka już ma sucho, leży wygodniej, na poduszce. Rozmawiają. To tylko szmer. Pewno nie muszą nawet słyszeć, co mówi jedno do drugiego, bo rozumieją się i tak. Choć on wydaje się rozmowny. Znowu coś komuś opowiada. Widocznie ktoś znajomy, to przecież małe miasto, Otwock. Salowa może być sąsiadką. Pyta o wnuka. Ile on ma lat? Ach prawda. Pięć. Słyszę, że chory jest na raka. Kto? Syn? Wnuk? A jednak wnuk.

– To niedorzeczne – myślę. Niemożliwe. I reszta opowieści gdzieś umyka.

Ciemnieje ściana naprzeciwko łóżka. Ale to nie jest ściana, teraz wiem, to wielkie okno, przez które widać tylko niebo i nic więcej

Kaszlę. W sali jest bardzo jasno. Ona śpi. On wciąż tu jest. Nie siada. Stoi. Czuwa. Kazał mu wyjść, bo będzie obchód.

Na sali są trzy łóżka. One dwie, lekarka i ta druga, stoją przy tym ostatnim, a ja nie widzę, kto tam leży, nie rusza się, nie jęczy. Śpi? Potem podchodzą do staruszki. Ta w białej marynarce to lekarka. Pyta, co boli. I znowu coś o potłuczeniu. Widać porządnie się potłukła. Coś tam im szepcze, a one tylko patrzą, wszystko wiedzą. I o mnie pewno wiedzą też. Zaraz tu będą, tylko krok. Lekarka pyta, jak się czuję. Mówię, że kaszlę i że niczego nie pamiętam. Kaszel ich jakby wcale nie obchodzi, jakby to było naturalne. Mam o to żal, być może jestem nieuprzejma. I wtedy ona jak gdyby chciała mnie poinformować, mówi, że byłam bliska śmierci.

Nie musi mówić, przecież wiem.

## Elżbieta Szeptyńska

### Powrót

Przygarnęłaś mnie.  
Otuliłaś zielonym kobiercem,  
ukolysałaś brzęczeniem pszczół  
i poszumem traw.

Zakłęłaś słońce  
by grzało pocałunkami.  
Zakłęłaś źródło  
by gasiło pragnienie.  
Zakłęłaś wiatr  
by chłodził czoło.

Uczyłaś barw  
od firletki, jaskra  
i niezapominajki.  
Kryłaś przed deszczem  
liśćmi lopianu.

Do Ciebie wracam  
łako.

### Świerki

Był dom  
i sad  
i dwa świerki zaplątane w chmury  
i grzęda poziomek,  
jak krople krwi czerwonych.

I była miłość  
soczysta jak jabłko skąpane w słońcu,  
rozświergotana i płocha.

Czas nie oszczędził  
domu,  
grzędy,

miłości.

Jedynie świerki nadal  
podpierają niebo.

## **Matka**

rzekł Człowiek:  
oto syn twój oto matka twoja

rzekł że się wypełniło  
i na krzyżu skonał

stała Matka pod krzyżem  
sine z bólu usta

stała Matka pod krzyżem  
rozpaczy krzyk czarny

a twarz biała jak płótno  
lodem ścięte dłonie

i w źrenicach jak w lustrach  
hańby mroczny koniec

## **Opętana**

Kiedy biegnie,  
w jej kruczoczarnych włosach  
świszcze wiatr,  
bose stopy klaszczą o bruk.  
W oczach goreją świetliki.

Kiedy chmura odsłania plaster księżycy,  
wyje jak wadera, obnażając kły.  
Grudami ziemi  
rzuca w świecące latarnie  
i zlorzeczy Stwórcy.

Cóż jej uczynił Bóg?

## Emilia Tarasiuk

### Jesienna ballada o warzywach

Jak wyglądają po ścięciu, zerwaniu, wykopaniu?  
Niekształtne kartofle lypią oczkami.  
Zakłete perły w strąkach to fasola.  
A największa, dynia – przysadzista, okrągła, gruboskórna,  
w środku delikatna i plenna.  
Kapusta – biała głowa w czepku falbaniastym wielowarstwowym.  
Cebula z mnóstwem szeleszczących szatek,  
przed rozbieraniem broni się  
przez porażanie lez wyciskaczem.  
Marchew lubi być kolorowa, cała pomarańczowa  
z rozplecionym warkoczem zielonym.  
Z zielonym włosem rozwianym pietruszka,  
ale sama bladziutka.  
Burak umorusany, z korzonkiem – „szczurzym ogonkiem”  
ale potem, ale potem, ile zdrowego soku daje!  
I wszystko zabarwić może.  
Ogórki już straciły swój kolor,  
utrwalone w kwasie octowym lub mlekowym,  
wraz z baldachami kopru i kamykami czosnku spoczywają.

### Widokówka z Bieszczad

Ciemna zieleń lasów nad Soliną,  
które strzepnęły już z siebie biel wiosenną.  
Czerwienią ozdobią się dopiero jesienią.  
Między nimi jaśniejąca droga,  
a przy niej karczma z zakapiorem,  
kępa kwiatków, tak urokliwych,  
że trudno się nad nimi nie schylić,  
pomnik przyrody i pomnik historii.

Gdy śnieżyce zasypią poloniny,  
ślad nawet grubego zwierza ginie.  
Przez głębię nocy, gęstość mgieł  
przebijają się światelka domów,  
w nich drzemią legendy o ludziach-bohaterach,

którzy już nie wrócą.

Park Nieba, gdy spadnie zasłona ukaże  
plejadę gwiazd wielkiej mocy  
na bezkresnym ekranie.

To tyle „ujęć” z mego aparatu optycznego,  
by na kartce zmieścić.

## **Cisza Golgoty**

Cisza wyczuwalna, jakby zdarzenie miało miejsce dzisiaj.  
Wyobraźnia odmawia posłuszeństwa,  
słowom trudno się wydobyć wobec:  
fałszu oskarżeń, okrucieństwa z nienawiści,  
wobec cierpienia i śmierci z miłości –  
do człowieka.

W wieczornej ciszy Piątku księżyc,  
zawsze księżyc stara się swą pełnią świecić.

Potem, z mroku wyjdzie świt, by głosić zwycięstwo.

## Mira Umiastowska

### Dom

z cyklu *Siła stania*

Stanął człowiek przed domem  
i stoi  
jakby dawno nie stał

zapada się w trans i marzenie  
o domu innym  
spełnionym

tymczasem się lekko ugina  
dom trzyma na plecach  
wzorem ślimaka i wierzy  
bez niego sklepienie runie na głowę

więc stoi i trzyma dzielnie jak filar  
kolumna dorycka Kariatyda

zanim kolejny zbuduje z klocków  
albo z waletów i dam  
kiedy królowie asy przegrali

zostanie gracz na polu sam  
by stać by grać o dobrą minę  
choć inni uciekli  
choć nie wie że stoi

stoi *en garde*

po kres po dom po jego imię

### Zamawiam

w barze zamawiam  
dwie wódki trzy śmierci  
pijanica – słyszę – rodzinę zabije  
więc odmawiam jedną wódkę

dwie zdrowaśki  
kelner przynosi srebrną tacę  
dwie strzykawki  
zamówilem jedną – koryguję błąd  
a on niewzruszony jakby nie słyszał  
dokłada trzecią  
odmawiam przejęcia przeprasza  
że pomyłka że pomyłka  
tak to stolik obok  
zamawiam podwójnie szkocką  
nie odmawiam blondynce  
której nie zamawiałem  
ale jest – w zmowie z kelnerem  
taka gra w chowanego  
taka wyliczanka  
dziewczynie prześwitują kości  
zdrada  
pobite szklanki pobite szkło  
zamawiam

## **A gdzie jest Joker?**

– Wąsata, do mnie! – krzyknął Janusz, machając do kelnerki.

Slonica ruszyła. Przemierzając stoliki, zaciągała uszami fartucha serwety razem z zastawą. Fala szła tak szybko, że zaskoczeni goście nie zdążyli ratować zamówionych dań, zwłaszcza trunków. Pызaty jegomość zakrztusił się był nawet, rozpoznawszy w przesuwającym się tajfunie swoją niedoszlą szwagierkę, która jednak teraz dochodziła, widać do przelożonego, bo idiotycznie przed nim dygnęła, aż galareta jej piersi wykonała piruet. Zafalowała przyplwem i odpływem ku dezorientacji szefa, którego grdyka mimo woli weszła z powyższym w rezonans.

To był prawdziwy majstersztyk. Co tam wąsy? To tylko zmyłka. Ale i nimi potrafiła zdekoncentrować upatrzoną ofiarę. Tym razem jednak zatrzepotała nimi prawo-lewo siarczyście, a oczy jej wykazały niewinność. Zdaje się, że wiedziała, co robi.

Pызaty obserwował dramatyzm sceny, rozgrywanej między tym dwójkiem, podobnie jak reszta klientów, spośród których jednak wysoka dama

niepostrzeżenie podeszła do niestrzeżonego baru. Dyskretnie wemknęła się za ladę. Kelnerskim trikiem otworzyła kasę.

Grająca szafa ryknęła przebojem „Odleciały mewy z dala”. Spod drzwi rozległ się pierwszy strzał. Nastąpił przewidywany wybuch paniki, który krzykiem wpędził ludzi pod poziom stolików. Powierzchnia przejaśniała. Sterczały teraz na niej, silując się wzrokiem, elementy trzy. Wysoki spod drzwi strzelający (z dwururki), strzelista dama i otepiały szef. Szafa ryczała zagłuszając podstolikowy ruch, którym Wąsata przeczolgiwała się zbierając piersiami z podłogi kurz, wąsem zaś smagała wystające pantofle gości. Ich wypięte tyłki sugerowały lekceważenie. Jednak ona była już pod drzwiami z napisem „Tu wejdz”. Tuż za nią ślizgiem wytoczył się Pызaty, zaś wysoka Dama celowa... aA!... Rozległ się drugi strzał, korka szampana, który zatkał Wysoką. Dama Kier przygłnęła do lady, pokonana przez szefa, gdyż ten okazał się być królem Pik. Biedak nie wiedział, że chciała kasę zasilić. Listem miłosnym. Ale było za późno. Rzucił spojrzenie ku drzwiom. Rumiana kelnerka wsiadała z Pызatym do karety zaprzężonej w cztery karo.

– Fartuch zostaw! Wąsata! Słyszysz?! Fartuch zostaw! – zdołał wykrzyknąć, ale go nie usłyszała.

W drzwiach stanął inspektor Darot. Ogarnąwszy sytuację spod kepi, ruszył dwa szybkie, żeby na trzecim kroku potknąć się o wąsy, które przyklejone do buta, uśmiechały się doń szyderczo. Wyróżnął jak długi.

Goście spod stolików powoli wyczolgiwali się z Café „Tu wejdz”, zgodnie z sugerowanym od wewnątrz napisem „Tam wyjdź”. Na czworakach przekraczali próg dziwnych zdarzeń. Za drzwiami prostując się, odchodzili parami.

Szef stał oniemiały. Inspektor leżał nieprzytomny. Wąsy się śmiały, jakby skrywając myśl tajemną.

Po odsłonięciu żaluzji, pierwszy strzelec okazał się być Jokerem rozgrywającym, i tak naprawdę, nikt nigdy nie dowiedział się, kim był. Z czyjego rękawa się wysunął. Trudno też ustalić, do kogo strzelał i po co. Ani, rzecz jasna, kto to wszystko posprząta.

Uwaga Króla Pik spoczęła na bilardowym stole, na którym ze spuszczoną głową siedziała po/d/rzucona dziewiątka. To nic, że była ruda. Miała jednak w sobie coś z trefla.

Zdaje się, że w rękę ścisła Asa.

I kto by pomyślał, że król wiele może?..

Za to Janusz zawsze może – okazać się Bolkiem i to cienkim.

– O! key! Cięcie! Światło! Na dzisiaj koniec. Dziękujmy statystom. Proszę się udać do kasy po odbiór honorarium. Nie radzę jednak wchodzić pod ladę – drugi reżyser uśmiechnął się spod wąsa. Nie wiedzieć komu, wąsy odpowiedziały lekkim uniesieniem.



## Epilog

Statyści udali się w kolejkę do kasy. Każdy z nich odebrał kopertę z małym logo damy kier w lewym górnym rogu. Wewnątrz zamiast gotówki znajdowała się karta z pytaniem: Jeśli miałbyś się wcielić w którąś z wymienionych postaci, to w którą i jakie miałyby to dla ciebie znaczenie? Zdezorientowani spoglądali to po sobie, to na kartę. Dziwne, przecież dopiero zeszli z planu. W rewersie Dama Kier puszczała oko.

## Projekcja

Do sali wykładowej wszedł koń. Wszystkie głowy zwróciły się ku spóźnionemu, który stukał jakby kulejąc. W rytmie na trzy zbliżył się do katedry. Ustawił w pozie defiladowej. Poklonił łbem, miotnął ogonem. Wykonał zwrot, by przekuścić dzwoniąc kopytami.

– Spóźniłem się. No co? – zarżał do śledzących go oniemiałych głów. Po czym zatrzeszczał ławą, sadowiąc zad w ostatnim rzędzie. Na gwoździu w ścianie powiesił rząd. Stało się jasne. Zgubił podkowę. Słuchacze nie rozumieli tylko, dlaczego nie zasiadł za katedrą. Rozpoznali w nim bowiem swojego wykładowcę od mechaniki kwantowej. Ten zaś wyjął najnowszy model smartfonu, poluźnił szalik i jak gdyby nigdy nic zaangażował się w coś na ekranie. Po chwili odezwał się sztuczny głos z Googla: Tadek kocha Zośkę z drugiej ławki. Teraz wszystkie oczy zaczęły szukać to Zośki, to Tadka, przeskakując z jednego na drugie. Zrobiło się narowicie. Dwoje wywołanych, bohaterów grubego nietaktu, nie bardzo umieli odnaleźć się w nowej sytuacji, której niezręczność i zmieszanie przerwał koński śmiech:

– Patrzcie na ekran! – z rzutnika poleciały słowa, które ułożyły się w hasło: Miłość najwyższą wartością życia! Miłość Agape jeszcze wyższą!

Po sali przebiegł szmer, gdy ekran znów przyciągnął skupienie: – Nie daj się zabić nienawiścią! Zwłaszcza nienawiścią własną!

– A gdzie tu kwanty?! – krzyknął ktoś z sali.

– Właśnie, gdzie? – dokrzyknął drugi.

Potem dorzucił coś trzeci. Po chwili wrzało. Studenci Politechniki poczuli się oszukani. Co ich to obchodzi?! Oni są już na trzecim roku i jakby zrozumieli, jak trzeba się uczyć. Przymierzali się do prac naukowych, a tu ktoś z nich kpi!

Naraz na ekranie pojawiły się kwiatki, łąka, motylki, potem górski szum strumienia, białe szczyty. – Co do licha?! – znów ktoś zareagował. Ale już nie zyskał poparcia. Na sali zrobiło się cicho. Jak czar płynęła muzyka relaksacyjna... Przerwana wybuchem wulkanu! Potem znów relaks..., potem huk armat i gruz! Potem szklane wieżowce. Tylko nie wiadomo czyje to mia-

sto. Może jakieś San Francisco z konstrukcjami przeciw trzęsieniom ziemi... może Nowy York, ale jakiś inny... Pomiędzy prześwitami lustrzanych sylwetek drapaczy, przemycą się postać Palacu Kultury...

– Kurwa! Znowu reklamy! – nie wytrzymał reaktywny głos z sali; kogoś, kto zdążył się już zaangażować w filmowy przekaz.

Na ekranie sex-laska zachęca do zakupu z wyprzedzący: – Najnowszy rocznik, sześćset koni mechanicznych. Kiss!

Po chwili znów jesteśmy w jakiejś norze bezdomnych. Po chwili błękit nieba porysowany smugami, po czym szybko reklama odtrutki na szczury. I przemily głos stewardessy:

– Proszę Państwa, zbliżamy się do lądowania. Proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa. Na zewnątrz czas środkowoeuropejski, temperatura plus dwadzieścia stopni C. Słonecznie. Prosimy o zabranie ze sobą rzeczy osobistych i nadziei na lepsze jutro. Lotnisko Chopina. Warszawa. Witamy. Zwłaszcza witamy absolwentów, na których czekają korporacje; Ale nie na wszystkich. Brawo pilot!

– Właśnie! Gdzie pilot?! – zarżał Koń, nerwowo podzwaniając kopytkiem.

Chciał na tym zakończyć pokaz prezentacji. Ale film się kontynuował, zmieniając tempo i drastyczność scen. To strasząc lękiem wydarzeń, to mamiąc obietnicą sielanki.

Tadek z Zośką dawno wymknęli się z tego balaganu. Uciekli do lepszego. Sala jakby się przeredziła. Koń zarzuca lbem w poszukiwaniu pilota. Parska. Daje się wyczuć narastające napięcie, bowiem film wymknął się spod kontroli i dalej toczy się inteligencją własną. Pokazuje też studentów, którzy wyszli z sali; nawet zdali egzamin, choć u Konia to trudno. Ci, co zostali jeszcze, siedzą biernie jakby nie wiedząc, że mogą opuścić film. Za ścianą i tak czeka życie...

Kto wie, z tym Tadkiem i Zośką, może Koń miał rację?

Gorzej jest tylko wtedy, kiedy system nie pozostawia wyboru. Konie zamienia na mechaniczne. Ludzi na roboty. Kręcą się tacy tylko i nawet nie wiedzą, że ktoś ich sprzedał. Zwierzęta poznikały. Kto wie, jakiej Arki by trzeba i jakiej nowej ziemi, żeby powrócił Eden?

I żeby było wiadomo, kim jest Koń. A jeszcze bardziej, by było wiadomo, że koń jest koniem.

Bo czego nauczy się dzieciak?

Nawet jeśli znajdzie zgubioną podkowę...

## Piotr Wilczkowski

### Interlokutorzy

Grochem o ścianę rzucam gdy mówię do niego.  
On wie swoje. Nie ustąpi. On zdania nie zmieni.  
Nie patrzymy na siebie. Mamroczemy słowa.  
Jak do tej pory, tak i nadal będziemy skłóceni.  
On, rodak nawet słuchać nie chce moich argumentów.  
Ale ja również, tych jego, nie jestem ciekawy.  
To co go śmieszy i bawi mnie potwornie nudzi.  
Jego kraj i moja ojczyzna to dwie różne sprawy.  
Gdy mówię mu Absolut – on puka się w czoło.  
Twierdzi, że jeśli nie wiem powinienem szukać w Internecie.  
Moje pasje to dla niego marnowanie czasu.  
Jest pewien, że bez takich jak ja lepiej byłoby na świecie.  
Ja dla niego jestem przybyszem z zapyziałej wiochy.  
On dla mnie to humanoid serca pozbawiony.  
Obaj wiemy, że nawet nie spojrzymy w tym samym kierunku.  
Naszym marzeniem jest wyruszyć w dwie przeciwne strony.  
Pozabijamy się – nasza wolność i na to pozwala.  
Empatia, tolerancja to wydumane, niepotrzebne słowa.  
Brzmią głucho bo nazywają coś co nie istnieje.  
I właśnie przestaje istnieć kolejne – rozmowa.

26.10.2018

### Na fali

Jadę metrem, czytam. Czytam „Złotą gałąź”. Frazer pisze, że miejscem prawdziwego życia nie jest ziemia, ale nie jest też niebo. Pisze, że dobrego miejsca szukano w pianie morskiej – bo to ani tu na dole, ale w górze... Pisze też, że dusza może oddalić się od człowieka i schować gdzieś, gdzie będzie bezpieczna.

Wojownik jak szedł na wojnę, to duszę zostawiał i że drzewa tak mają – tłumaczy. Duszę chronią w jemiolu. Jesienią drzewo schnie i gubi liście, a jemiola zielenieje... Dzicy w to wierzyli – mówi Frazer.

Jadę zanurzony w tej pianie. Już nie na ziemi, nie w niebie i nagle widzę, że siedzący naprzeciwko mnie czarny rottweiler ma mordę zachwyconą

życiem. Szczęśliwą. On tak jak ja – myślę. Spoglądam. Widzę, to, co pies ogląda – stoi dziki. Kolorowy. Może nie całkiem czarny, ale smagły. Hindus. W turbanie. Rękę ma czymś owiniętą, a na tej jego ręce w czerwonym helmie na głowie siedzi sokół. Ptaszysko wielkie, drapieżne. Metrem jedzie i szponami Hindusa za rękę trzyma...

Ale się zdarzyło – myślę. Pies spokojny – patrzy.

Psa zrozumiałem, Jamesa Geoga Frazera zrozumiałem – bo to w gruncie rzeczy proste. Pozwolić duszy na swobodę, na wolność poza tu i teraz. Tyle. Pies pomerdal ogonem.

## Pasażer

Wyrzał przez okno. Nadaremnie. To był prosty odcinek torów, a on siedział w drugim wagonie.

Ależ on się wlecze – pomyślał. Pierdola cholerna. Ile można stać na przystanku?

Zmierzchało. Pasażerowie gapili się w swoje smartfony. Muskali świecące ekrany.

– Światła ma tam jakieś, czy korek? – Może nawet wymówił te słowa, ale siedząca obok dziewczyna miała słuchawki na uszach. Mógł sobie gadać. Pochłonięta muzyką rytmicznie podrygiwała zgrabną nogą w prowokacyjnie dziurawych rajstopach.

Dopiero teraz klasnęły automatycznie zamykane drzwi. Mocne szarpnięcie ruszającego tramwaju wcisnęło go w fotel i tym momencie usłyszał głuchy łoskot. Odwrócił głowę. Zobaczył.

Na podłodze leżał człowiek.

Nie krwawi, to dobrze – ucieszył się.

Kiedy napotkał jego wzrok, zauważył też, że jest przytomny. Soczyste – kurwa mać! uświadomiło mu to do końca.

Nasluchiwał. Czuł, że ofiara podnosi się, ale nie siada. Słyszał kroki. Były coraz bliżej. Poczul silny odór alkoholu i dotknięcie ramienia.

Odwrócił głowę. Mocno pijany nieznajomy patrzył na niego. Miał chrapliwy głos, ale wypowiedziane słowo było klarowne.

– Dziękuję! – usłyszał.

Jeszcze nie pojmował.

– Pan przyglądał mi się jak ktoś, kto chce pomóc. Przyszedłem podziękować – zacharczał.

Chyba wyciągnął do niego rękę. Chyba? W pamięci został mu tylko ten jego wzrok!

# Spis treści

<b>Wstęp</b> (Piotr Müldner-Nieckowski)	5
<b>Krystyna Chomicz-Jung</b>	
Poza	7
Czy jestem	7
Lecz czasem	7
<b>Sandra Czeszejko-Sochacka</b>	
My anioły	9
Melodia	9
Listopadowy dzień	10
<b>Henryk Ditchen</b>	
Dotyk	13
Krople	13
Ballada o taboretowej nodze	14
<b>Maria Domżał-Wasilewska</b>	
Medytacja	16
W kościele	16
Podróż kosmiczna	17
<b>Urszula Dyjasińska</b>	
W teatrze złudzeń	18
Są słowa jak zaklęcia	18
Nostalgia	18
Nieborak	19
Smuga cienia	19
<b>Hanna Fołtyn</b>	
Historia pewnego romansu	20
Modlitwa	21
Figi	21
Zostań	24
<b>Iza Galicka</b>	
Fast	26
Sztuczne piekła	26

Ogórek i Bursztyn. Z kroniki rodzinnej . . . . .	27
Ostatnie kuszenie doktora Faustusa . . . . .	28
<b>Jolanta Maria Grotte</b>	
Dla Ciebie . . . . .	30
Mój świat. . . . .	30
Widzieć jaśniej . . . . .	31
Wyzwolenie . . . . .	31
Halo... Proszę...! Słucham...? . . . . .	32
<b>Zofia Kamola</b>	
O, Temido! . . . . .	34
Festiwal . . . . .	34
Pod grzbietem Pegaza. . . . .	35
Z perspektywy psa. . . . .	36
<b>Walentyna Karwowska</b>	
Gdzie są? . . . . .	37
Krewna czasu . . . . .	37
Twój kłopot . . . . .	38
Nieruchome schody . . . . .	39
Przechowalnia . . . . .	40
To taniec . . . . .	40
<b>Barbara Kołacz</b>	
Mozaikowe interferencje . . . . .	41
Marcepanowa dama . . . . .	42
Jablonki . . . . .	43
<b>Beata Ewa Komarnicka</b>	
Babcia. . . . .	44
Wiśnie . . . . .	44
Zbyt krótkie. . . . .	45
<b>Jolanta Kościelecka</b>	
Przystankowie . . . . .	46
Tarczyńska 11 . . . . .	46
Gajcemu i Stroińskiemu . . . . .	47
<b>Maria Kościuszko</b>	
Kirkut. . . . .	48
O moich wierszach. . . . .	48
Ostatni Żyd w miasteczku . . . . .	49
Stary człowiek i stary pies . . . . .	50
*** . . . . .	50
*** . . . . .	51
Po latach . . . . .	51
<b>Joanna Kożan-Łazor</b>	
*** . . . . .	54
Znikający punkt . . . . .	54

Śmieciuch . . . . .	54
Miraż . . . . .	55
Pastorałka prowincjonalna . . . . .	55
Wieczera . . . . .	56
Dawno, dawno temu, prawie dziś... . . . .	57
<b>Małgorzata Krupińska-Nowicka</b>	
Corrida de toros . . . . .	58
Dyptyk na obiektyw i trzy różne serca . . . . .	58
Kolysanka dla syna . . . . .	59
Biling . . . . .	60
Motyle . . . . .	61
*** . . . . .	61
<b>Anna Kulesz</b>	
Ciemne zakamarki duszy . . . . .	62
Konwaliowa drabina . . . . .	62
Spotkanie w Domu Opieki . . . . .	63
Za późno. . . . .	63
Kresowy pejzaż. . . . .	65
Wiosenne porządki . . . . .	65
<b>Agnieszka Laudowicz</b>	
Sekretarka . . . . .	66
Wiosna . . . . .	66
<b>Anna Liber</b>	
Chabrowa mgła . . . . .	67
Dwie pasje . . . . .	67
Niewinne pytania . . . . .	68
Jak wolność . . . . .	68
Osiadłać wiatr . . . . .	69
Wieloznaczność strachu . . . . .	69
Apetyt lupieżca . . . . .	70
Płaszcz na koncercie . . . . .	70
Biały Królik . . . . .	71
Kula . . . . .	71
Gorsze dziecko . . . . .	72
<b>Blanka Lipińska</b>	
Wiersz głęboki . . . . .	73
Anons. . . . .	73
Gatunki zagrożone . . . . .	73
<b>Renata Lipińska-Kondratowicz</b>	
Target. . . . .	75
Sirocco . . . . .	75
Nocny interwał . . . . .	76

<b>Katarzyna Alicja Liszewska</b>	
Bez tytułu . . . . .	77
Serce mewy śmieszki . . . . .	77
Święconka w pudełku od nici . . . . .	77
<b>Krystyna Łagowska</b>	
Ujarzmić czas . . . . .	79
Parawan lotosu . . . . .	79
Jaki kolor? . . . . .	79
Mrok . . . . .	80
Niewypowiedzianych słów . . . . .	80
Były raj . . . . .	81
List do... . . . .	81
Białe niezapominajki . . . . .	82
Internet nieba . . . . .	82
Hamak . . . . .	83
Zarys słów . . . . .	83
<b>Alina Makówka</b>	
Fraszki . . . . .	84
Efemeryda . . . . .	87
<b>Anna Mikos</b>	
O szczęściu . . . . .	88
Przekorna miłość . . . . .	88
Zimowa tęsknota Róży . . . . .	89
Dorastanie . . . . .	89
Kaluża . . . . .	90
<b>Celina Mioduszevska</b>	
Na własne życzenie . . . . .	91
Dom niegościnnie . . . . .	91
Kir... . . . .	92
Maj . . . . .	92
<b>Anna Jolanta Miziołek</b>	
Pożegnanie . . . . .	93
Sprawność . . . . .	93
Fizyka. . . . .	93
Agnieszka . . . . .	94
Terazniejszość . . . . .	94
<b>Krystyna Obara-Morawska</b>	
Tryptyk o łące . . . . .	95
Przyjemność. . . . .	95
Chopin . . . . .	96
Czyste kobiety . . . . .	97
<b>Agnieszka Ochenkowska</b>	
* * * . . . . .	98



<b>Barbara Osior-Turcza</b>	
Truskawki . . . . .	99
<b>Andrzej Ostromecki</b>	
Bois de Vincennes . . . . .	100
Central park . . . . .	100
Czas . . . . .	100
Daty równoległe . . . . .	101
Dla Beaty – 22 września 2015 . . . . .	101
Dziedzina . . . . .	102
Franciszek . . . . .	102
Georgia on my mind . . . . .	102
Rozmowa ojca z synem . . . . .	103
<b>Krystyna Rejniak</b>	
Jeździec i koń . . . . .	104
Wierzba . . . . .	104
Pasja miłości. . . . .	105
Upojna noc . . . . .	105
<b>Katarzyna Rymaszewska</b>	
Bezdomni z ulicy Przybyszewskiego . . . . .	107
Tata Brum-Brum . . . . .	107
<b>Jadwiga Siwińska-Pacak</b>	
Warneński wiatr . . . . .	109
Wisła w Kazimierzu Dolnym . . . . .	110
Mgły grudniowe . . . . .	110
<b>Hanna Sławińska</b>	
Dziewczynka z zapalkami . . . . .	111
W nocy . . . . .	111
Gorączka. . . . .	112
<b>Hanna Sławińska i Lidia Troć</b>	
Rozmowa w SMS-aaach o Róży . . . . .	114
<b>Lidia Troć</b>	
Z cyklu „pisane w pociągu” . . . . .	119
W pociągu . . . . .	119
Demony . . . . .	119
Już wiem . . . . .	119
* * * . . . . .	120
W parze . . . . .	120
<b>Sławomir Stalmach</b>	
Lot ku marzeniom . . . . .	121
Ja, tak samo jak ty . . . . .	121
Podpis. . . . .	121
Wysokie C . . . . .	122
Depozyt . . . . .	122

<b>Iwona Świerkula</b>	
Rozsuniecie zaslon. . . . .	123
Zawal . . . . .	123
Wieczór panieński . . . . .	124
W domu opieki . . . . .	125
Ubrany w łóżko. . . . .	125
<b>Wanda Szczypiorska</b>	
Choroba . . . . .	127
<b>Elżbieta Szeptyńska</b>	
Powrót . . . . .	129
Świerki . . . . .	129
Matka . . . . .	130
Opętana . . . . .	130
<b>Emilia Tarasiuk</b>	
Jesienna ballada o warzywach . . . . .	131
Widokówka z Bieszczad . . . . .	131
Cisza Golgoty . . . . .	132
<b>Mira Umiastowska</b>	
Dom . . . . .	133
Zamawiam . . . . .	133
A gdzie jest Joker? . . . . .	134
Epilog. . . . .	136
Projekcja . . . . .	136
<b>Piotr Wilczkowski</b>	
Interlokutorzy . . . . .	138
Na fali. . . . .	138
Pasażer . . . . .	139

ISBN 978-83-938439-2-3

Warszawska Szkoła Pisania  
Stajnia Literacka SPP

<http://spp.warszawa.pl>  
[stajnia@spp.warszawa.pl](mailto:stajnia@spp.warszawa.pl)



Stowarzyszenie  
Pisarzy Polskich  
**Oddział Warszawa**